

## W NUMERZE

Janusz Kujawa	
Artykuł wstępny .....	1
Tadeusz Tondera	
Mój „sportowy” Rzeszów .....	2
Stefania Obara	
Garść wspomnień .....	4
Karina Bester	
RÓŻNE OBlicZA PODKARPACIA	
Święta u Łemków .....	6
Jan Lucjan Wycisław	
Chrzest Litwy .....	8
Grzegorz Ostasz	
Pułkownik Mieczysław Wałęga .....	12
Janusz Kujawa	
W strugach „BURZY” na ulicach Tyczyna	
– rozmowa z kpt. M. Skotnickim .....	13
Ewa Rabczak	
Pamięć ciągle żywa .....	16
Marek Soja	
Strażniczka pamięci o Katyniu .....	19
Urszula Szymańska-Kujawa	
Zróbmy wrzawę wokół Wrzaw! .....	21
Z życia stowarzyszenia .....	22
Renata Pasternak	
Szlakiem rzeszowskich nośników	
pamięci historycznej .....	24
Odeszli na wieczną wartę .....	25
Dociekliwy	
Cuda i guziki – felieton. ....	28

## KWARTALNIK SPOŁECZNO-HISTORYCZNY „ŚLAD”

**Numer 3–4/2007 (4–5)**

Kwartalnik wydawany jest przez Regionalne Stowarzyszenie Pamięci Historycznej „ŚLAD”, przy współpracy Instytutu Historii Uniwersytetu Rzeszowskiego.

**Redakcja:** Jadwiga Hoff, ks. Stanisław Nabywaniec, Tadeusz Ochenduszo, Urszula Szymańska-Kujawa, Wacław Wierzbieniec

**Redaktor naczelny:** Janusz Kujawa

**Korekta:** Katarzyna Mikluszka, Anna Mazurkiewicz

Zdjęcia na okładce: (od lewej)

S. Obara, D. Stachura, A. Zagórski, K. Kaszuba

### Adres redakcji:

Zespół Szkół Ogólnokształcących nr 3,  
ul. Wyspiańskiego 16a, 35–111 Rzeszów  
e-mail: stowarzyszenieslad@wp.pl  
www.slad.go.pl  
tel. kom. 692 451 389

### Druk:

Wydawnictwo i Drukarnia

**mitel**

tel./faks 017 861 26 69, 017 852 13 62  
e-mail: mitel@mitel.com.pl • www.mitel.com.pl

## SZANOWNI PAŃSTWO!



Witamy po raz trzeci! To jeszcze niewiele, ale zapewne wystarczająco dużo, by już wiedzieć, czego się po sobie wzajemnie spodziewać. Czytelnicy coraz lepiej czują, jakie tematy interesują nas najbardziej i w jaki sposób chcemy je przedstawiać. My także dzięki Państwa uwagom i sugestiom zaczynamy poznawać Wasze oczekiwania wobec naszego pisma. W bieżącym numerze będzie dużo kontynuacji już tradycyjnych działów, ale pojawią się także nowości. Sięgnijmy w nieco bardziej odległe dzieje, zaglądając równocześnie nieco dalej od Rzeszowa, będącego jednak wciąż centrum naszych zainteresowań. Niektóre nowe tematy pojawiają się w sposób przemyślany, jak np. temat obyczajów świątecznych u Łemków. Inne w brutalny sposób przyniosło życie – jak np. wspomnienie pośmiertne o niedawno zmarłych. Szczególnym smutkiem napełniła nas wiadomość o śmierci p. Kazimierza Kaszuby. W poprzednim numerze zamieściliśmy jego wspomnienie o nieudanej akcji pomocy dla Powstania Warszawskiego i krótką relację ze spotkania z nim w Domu Kombatanta. Po tej rozmowie obiecaliśmy sobie, że w przyszłości wrócimy jeszcze do niektórych wątków jego bogatej biografii. To już niestety nie będzie możliwe. Pozostanie w naszej pamięci fakt, że dosłownie kilka dni przed śmiercią pan Kazimierz otrzymał numer „Śladu” z jego artykułem – z czego bardzo się ucieszył. W niejako naturalny sposób w życie każdego pisma historycznego ingerują aktualnie obchodzone rocznice i święta, jak np. Chrzest Litwy. Stałym działem stają się wspomnienia: tym razem sportowe Tadeusza Tondera oraz poświęcone rodzinnym stronom – Straszylu – p. Stefani Obar. Wiemy, że te na poły osobiste wycieczki w przeszłość cieszą się dużym zainteresowaniem czytelników. Chcemy, by stanowiły one ważny element każdego numeru. Pozwalamy sobie więc wystąpić do Państwa z pierwszym apelem o udostęp-

nienie nam takich właśnie materiałów, często niesłusznie kwalifikowanych jako interesujące tylko rodzinę. Żywa reakcja czytelników dowodzi, jak często mylący może być taki sąd. Pewne niedyskrecje czy nazbyt subiektywne opinie po latach z pewnością nikomu nie zaszkodzą. Jeśli zaś zdarzy się, że autor przedstawił jakieś wydarzenie nie do końca zgodnie z faktami, będzie okazja, by takie nieprawdziwe opowieści skorygować. Pewnym novum w takim prezentowaniu wspomnień jest wywiad z p. Mieczysławem Skotnickim, będący fragmentem przebież rozmowy, którą mieliśmy przyjemność odbyć w domu naszego gospodarza – dawnym dworku na obrzeżach Tyczyna. Mam nadzieję, że będziemy mieć jeszcze niejedną okazję podzielenia się z czytelnikami plonem takich spotkań – wywiadów. Artykuł „Pamięć ciągle żywa” porządkuje, a także poszerza naszą wiedzę o wojennych stratach ludności naszego miasta, która wraz z upływem lat staje się coraz mniej osobista, a bardziej „książkowa”. Uprzedzając pytania – wyjaśniamy. Kilka wcześniej zapowiedzianych kontynuacji wciąż czeka na stosowną okazję lub miejsce, by do nich powrócić. Prosimy zatem o cierpliwość i wyrozumiałość. Historia to przede wszystkim ludzie, ci często niezauważani pośród codziennej gonitwy, a będący żywymi skarbnicami wiedzy o czasach minionych, oraz ci już zmarli. Przesłanie, które często nieśli nam oni swoim życiem czeka wciąż jeszcze na odkrycie. W tym dziale biograficznym obok wspomnianego już M. Skotnickiego, spotkamy jeszcze p. S. Sojow, zaś wspomnieniem obejmujemy K. Kaszubę, A. Zagórskiego oraz D. Stachurę. To oczywiście nie wszystko, co znajdziecie Państwo na kartach niniejszego numeru. Brak tam także tych najciekawszych opowieści. Tych, które nie zostały jeszcze opowiedziane, wysłuchane i spisane. Nie przez nas, lecz przez Was drodzy Czytelnicy. Więc nie tracąc czasu szukajmy wokół siebie śladów przeszłości, wyjmujmy aparaty, dyktafony czy kamery. Może jeszcze zdążymy, zanim będzie za późno. Na koniec chcemy wyrazić wspólną radość, że jest nas coraz więcej i że słowo „ślad” coraz powszechniej kojarzone jest z naszym stowarzyszeniem i pismem. Za to wszystkim, którzy się do tego przyczynili, pragniemy serdecznie podziękować. Tyle słów i tak przy długiego wstępu. Żegnamy się do następnego numeru, który już przygotowujemy.

W imieniu redakcji życząc miłej lektury

Janusz Kujawa  
Redaktor naczelny

Tadeusz Tondera

## Mój „sportowy” Rzeszów

Z opowiadań rodziców dowiedzieliśmy się, jak to w młodości spędzali oni wolny czas. Mama, jako panienka, należała do Sokoła i ćwiczyła gimnastykę, jazdę na łyżwach i tańce. Ojciec również był czynny w Sokole, a przejmując po moim wujku Stanisławie Marcinkiewiczu funkcję w zarządzie Resovii, a później prezesurę, wiele czasu i pieniędzy poświęcił klubowi. Ja już pamiętam, jak wiele wysiłku włożył w budowę boiska piłkarskiego przy ul. Krakowskiej, gdzie poza ogrodzeniem, wybudowano kręgielnię, korty tenisowe i studnię, bo jeszcze wtedy nie było wodociągów. Dla postawienia klubu na jakimś poziomie, trzeba było go wyposażać w sprzęt i w ubiory. Ojciec zakupił piłki, a buty piłkarskie, których nie było w handlu, zrobił, a właściwie przerabiał, wynajęty przez ojca szewc – Jan Ciupak. Zakupione przez ojca w 17. pułku piechoty (po znajomości) trzewiki wojskowe tzw. komyszniki, przystosowywał, odrywając zelówki nabite ćwiekami i obcas, a mocując korki.

Mama natomiast zatrudniała krawcową – panią Świerkową, która całymi dniami szyła w kuchni koszulki i spodenki oraz wykonywała emblematy Resovii, nazywając je na ubrania sportowe. Świadczenia ze strony matki zostały pozytywnie ocenione przez Lwowski Okręgowy Związek Piłki Nożnej, bo otrzymała, chyba jako jedyna kobieta w tej dziedzinie sportu, odznakę „Zasłużonemu dla Piłki Nożnej”.

W takiej atmosferze wychowywaliśmy się. Było nas trzech i od wczesnej młodości mieliśmy doskonałe warunki, bo mieszkaliśmy w służbowym mieszkaniu w Cegielni Miejskiej przy Rejtana 10, gdzie i mieszkanie, i budynki fabryczne, ogrody i przyległe błonia, łąki, Wiśłok i warsztaty,

do których mieliśmy dostęp, a później stawy powstałe na kopalni gliny, były wymarzone do realizacji zapędów sportowych dla nas, młodych zapaleńców oraz ich kolegów, którzy chętnie się przyłączali. Zwłaszcza że matka umiała ich zachęcić, robiąc po treningu smaczne podwieczorki.

Od wczesnej młodości jeździliśmy na łyżwach. Ja jako mały brzdąc, widząc jak wyglądały holenderki mojej mamy, mocowane do bucików za pomocą żabek, z mocno zakreconym noskiem, wymyśliłem, że wystarczy łyżka do butów. Mieliśmy blaszaną, z zakrzywionym noskiem, która położona na wyfroterowanej podłodze, udawała łyżwę, a po wstawieniu bucika w ten zagięty nosek, ślizgała się i to był początek jazdy na łyżwach. Potem, chcąc zapoznać się z lodem (a zimy były srogie i 3 miesiące była ślizgawka na Wiśłoku oraz później na stawie) ślizgaliśmy się na butach, i podkówkach. Do tego trzeba było mieć koniecznie przybite do obcasów podkówki. Tak oswojeni z lodem, gdy podrośliśmy i ja miałem już 10 lat – dostałem pierwsze łyżwy, które miały ciekawą konstrukcję mocującą łyżwę do buta. Jedną dźwignią zsuwało się żabki do podeszwy i obcasa. Potem dostałem nowocześniejsze, gdzie jeszcze musiało się do obcasa przymocowywać blaszkę z otworem, do którego wchodziła główka mocująca, a po przekręceniu go o 90°, utrzymywała tył, a do podeszwy trzeba było zacisnąć kluczykiem żabki. Młodszy bracia w międzyczasie zapoznawali się z jazdą, stawiając pierwsze kroki na łyżwach wymyślonych przez ojca i wykonanych w warsztatach cegielni. Były to łyżwy o dwóch nożach – dwie płazy, przymocowane do deseczki o kształcie podeszwy bucika dziecięcego, które rzemieniami przypinało się do butów. To pozwala-

ło oswoić się z lodem, nie męcząc nóg w kostkach, bo dwie płazy rozstawione utrzymywały bucik w prawidłowym położeniu. I tak maluchy mocowały się i oswajały z łyżwami, które dla mnie były już wysłużone, a ja dostałem nowe.

Gdy na kopalni pokazały się źródła i można było zalać wyrobisko, ojciec wybudował kanał odprowadzający nadmiar wody do Wiśłoka. W zimie, po jego zamrożeniu urządził dla Resovii ślizgawkę. Szatnia była ogrzewana, tanie bilety, bo trzeba było opłacić człowieka, który polewał lód i odmiatał.

Zaczęliśmy próbować nie tylko jazdy figurowej, ale także hokeja. Kije robiliśmy początkowo ze zbitych łopatek i trzonka. To wprawdzie nie było podobne do oryginalnych kijów hokejowych, ale pozwalało opanować prowadzenie krążka i imitację strzałów. Ojciec w końcu kupił oryginalne kije kanadyjskie, zrobiono bramki, bandy z pojedynczych desek, bramki i zaczęły się poważne treningi. Ja i brat Janek, który świetnie jeździł, oraz dwaj bracia Dżerowicze stanowiliśmy trzon pierwszej drużyny hokejowej Resovii. Mieliśmy już oryginalne łyżwy kanadyjskie CCM mocowane do butów, a ochraniacze dla bramkarza zrobił za pieniądze ojca rymarz. Wykonane były one z brezentu, wypchane słomą, ale na początek musiały wystarczyć. Kije szybko potrzaskały się – więc trzeba było na ich miejsce coś wymyśleć. I na szczęście był w cegielni wspaniały stolarz – pan Widurek. Ponieważ umiał on giąć drewno i wiedział, jakie najlepiej będzie się nadawać na kije hokejowe, kazał kupić ojcu bale z brzoštu. Po ugotowaniu w specjalnym pojemniku, zagięte na formie suszyły się po wypaleniu cegły, a potem cięto



je na 3-cm surówki, które obrabiał się strugiem, nadając kształt kija lewego i prawego. To było osiągnięcie, które pozwoliło nam grać bez większych wydatków.

Podobnie poradziliśmy sobie z nartami.

**Pierwsze narty, oryginalne hikory norweskie, miał Staszek Krajewski. Były to narty bardzo długie, w połowie bardzo grube – miały tam wydłubany otwór, przez który był przesuwany rzemień do mocowania obcasa.**

Szczęki były stałe, więc po zrobieniu formy do kształtowania wygię noska i całości, zakupił ojciec jesion ogrodowy i pan Widurek na podstawie rysunków wymiarowych robił deski. Te z kolei w zaślepionej z jednej strony rurze zaparzało się, gięło i suszyło w komorze ceglanej, później politura, impregnacja i dawało to doskonałe wyniki. Na takich deskach – nartach jeździliśmy na Zalesie, do Matysówki i nawet zabrałem je później do Lwowa, gdzie były wspaniałe tereny i można było przyjemnie pohasać w dzień wolny od zajęć.

Nie skończyło się na łyżwach i nartach, bo przecież Wisłok stwarzał nowe możliwości, a był on inny niż dzisiaj. Po pierwsze, w okolicy Lisiej Góry był dziki, z płyciznami, głębinami i zakolami pięknie zarośniętymi wikliną. Można było nie raz spotkać zimorodka, można było w nocy na gruntówkę łapać brzozy. Teraz Wisłok to obetonowany ściek. A wtedy co roku na wiosnę wylewał, gdy płynęły lody i w jesieni, gdy padały deszcze. Woda była szalona: wiry, prądy – więc nam rodzice nie pozwalali się tam bawić (zdarzały się wypadki utonięć) dopóki nie nauczyliśmy się pływać na kontrolowanych głębokościach stawu po gliniance. Sami nauczyliśmy się różnych stylów, a szczególnie młodszy brat Janek opanował kraula i pływał doskonale. Więc gdy woda była przez nas opanowana, zaczęło się budowanie ka-

jaków. Ponieważ było nas trzech – poszła seria jedynek o nazwie T. J. Ś. – z jednym żeblem w połowie, z bardzo wąskimi dziobami i rufą, a kokpity pokryte blachą. Wiosła robił się składane i trzeba było umieć trzymać równowagę. Były to bardzo wywrotne i bardzo zwrotne kajaki, ale za to śmigały po prądach. To były chyba pierwsze kajaki w Rzeszowie.

Potem zrobiliśmy łódź wiosłową, w której mogło się zmieścić 5 osób, a wiosłarz miał okazję pogimnastykować plecy i mięśnie rąk, z czego często korzystał wujek Marcin.

Raz, w przeglądzie sportowym, pokazało się zdjęcie łodzi wyścigowej, jedynki, tzw. skichu. Wykonane było z mostu, gdzieś w Londynie, w taki sposób, że można było wyliczyć wymiary łodzi w rzeczywistości. Pozostało dobrać odpowiednie materiały na konstrukcję kadłuba, zrobić wiosła jesionowe z jednego kawałka drewna i już gotowe! Łódź stanowiła wielkie widowisko dla rzeszowiaków, zwłaszcza, że szybkość jej była zawrotnie duża w porównaniu z kajakami. Ale trzeba było umieć na niej siedzieć i uważać zwłaszcza przy wsiadaniu i wysiadaniu, aby się nie skąpać.

Przyszła wojna, sport został skierowany na inne tory. Przysłał się, gdy pieszo przebyliśmy trasę, uciekając na Wschód przed nadciągającą armią niemiecką. A poszliśmy do Włodzimierza Wołyńskiego, Kowla i Brześcia, a dopiero z Brześcia dojechaliśmy do Baranowicz i Stołpców. Stąd musieliśmy po kilku dniach, po „wyzwoleniu” tych terenów przez Armię Radziecką, uciekać i po wielu perypetiach wróciliśmy do Rzeszowa.

**Za okupacji o sporcie nie było mowy, a po wyzwoleniu, gdy zacząłem pracować w przemyśle, zająłem się sportem motorowym. Uruchomiłem żużel, rajdy motocyklowe.**

Ja też byłem czynnym zawodnikiem w „Ogniwie” Resovia. Jako miłośnik łyżew, zostałem skierowany na kurs sędziowski jazdy figurowej

do Warszawy, a później do Katowic, gdzie po kursach i praktycznych zajęciach zostałem sędzią i sędziowałem nawet mistrzostwa Polski w Zakopanem i Nowym Targu. Gdy pracowałem w Nowym Targu w latach 1948–1950, uprawiałem narciarstwo i łyżwiarstwo, przy czym tam nauczyłem się, jak naprawdę jeździć w górach na nartach.

Góry poznałem dopiero po wyzwoleniu, kiedy były dostępne wczasy. Ponieważ lubiłem wspinaczkę, sprawiłem sobie buty z okuciami i mogłem spokojnie wędrować poprzez Tatry, Karkonosze, Góry Sowie – gdzie zawsze montowałem grupkę miłośników gór. Mając doskonałe mapy, bawiłem się w przewodnika i w lecie, i w zimie na nartach.

Gdy z przemysłu przeniósłem się do szkolnictwa, aby z żoną, która skończyła studia nauczycielskie mieć wspólne wakacje – nie mogąc uczestniczyć w kursach sędziowania jazdy figurowej (niemożliwość uzyskania zwolnień), pozostała mi amatorska jazda na motocyklu, a później samochodowa. To pozwoliło zwiedzić całą Polskę. Życie motocyklowe koncentrowało się u inżyniera Stanisza w naszym klubie podwórkowym, gdzie kilku zapaleńców wymieniało doświadczenia na temat utrzymania i obsługi różnych powojennych marek motocykli. Było też miejsce omawiania trasy rajdów i wspólnych wycieczek, przy czym z tego klubu podwórkowego wyszło wielu działaczy Polskiego Związku Motorowego.

Sport, który zaszczepili mi rodzice, pozwolił mi na utrzymanie do późnego wieku sprawności, dzięki niemu mając 86. rok, jeszcze jakoś się trzymam. Niestety, nie udało mi się zarazić sportem moich dzieci, gdyż one wychowywały się w innych niż my warunkach, co wyraźnie odbiło się na ich stanie zdrowia.

Teraz, na starość, pozostały tylko spacerować po ścieżkach nad Wisłokiem, który na zawsze będzie związany z moją młodością.

Nie tylko łódki i kajaki były naszym sportem. Na łakach i między budynkami cegielni a Wiśłokiem mieliśmy urządzone boisko do koszykówki, skocznię i rzutnię. Ćwiczyliśmy tam rzut dyskiem, pchnięcie kulą, mając do dyspozycji swój sprzęt.

Gdy byliśmy już dorośli, ja na studiach we Lwowie, a brat Janek po podchorążówce, należeliśmy do klubów koszykówki. Ja do Akademickiego Pododdziału Związku Strzeleckiego, a brat Janek do „Rezerwy”. Mama wymyśliła turniej koszykówki, fundując puchar przechodni, aby syno-

wie mogli się wyżyć sportowo. Grałimy na boisku Sokoła, ale tylko dwa lata, bo przyszła wojna. Puchar gdzieś się zapodział, bo raz go wygrała „Rezerwa”, a raz APZS i nie wiem, co się z nim stało, a teraz pozostały tylko zdjęcia.

To, że za młodu zżyliśmy się z wodą i kajakami, pozwoliło mi wejść z zamiłowania do drużyny kajakowej „Asturia”, gdzie przez 12 lat na każdych wakacjach, w ramach wczasów PTTK, prowadziliśmy naukę pływania, biwakowania i posługiwania się kajakiem, na wodach Jezior Mazur-

skich i Suwalsko-Augustowskich oraz najwspanialszych rzekach jak Czarna Hańcza, Pasłęka, Brda itp. Ja w tej drużynie byłem mechanikiem, porobiłem wiele usprawnień w sprzęcie biwakowym oraz ułatwiającym spływy w różnych warunkach. W miarę upływu czasu, chorób i wieku członków „Asturii” zakończyliśmy naszą działalność, pozostawiając sobie niezapomniane wspomnienia, przyjaźnie i setki zdjęć.

*Wspomnienia napisano  
w 1999 roku (przypis redakcji)*

Stefania Obara

## Garść wspomnień

### Nauka i oświata w Straszylu

To, że wiara, tradycje i patriotyzm były tak głęboko zakorzenione na wsi i przetrwały 123 lata zaborów, było zasługą rodziców, nauczycieli, księży. Księża wpajali w umysły parafian dobro, a ostro i zdecydowanie potę-

zakładali Kasy Stefczyka, mleczarnie i inne organizacje świeckie.

Nie we wszystkich wsiach w tym czasie były szkoły i tam – jak opowiadała moja Babcia – nauczyciele chodzili zimą po domach, uczyli dzieci i starszych nie tylko czytania i pisanie, ale przekazywali też historię naszego państwa, jego początek i dalsze dzieje, rozbudzali miłość do Ojczyzny, utrwalali patriotyzm.



Stefania Obara

Usłyszane od nich wiadomości przekazywali jedni drugim. Nauczyciel pożyczal książki, które umiejaczy już czytać czytali głośno gromadzącym się w ich domu sąsiadom. A w czasie rozbiorów i potem byli w naszej ojczyźnie pisarze i poeci, którzy umieli trafić swoim piórem do serca nie tylko uczonych, ale i prostaczków, wzniesić nienawiść do wrogów, nauczyć miłości do ojczyzny.

Moja Babcia nauczyła się pisać i czytać dzięki takiemu chodzącemu po domach nauczycielowi. Mój Ojciec urodzony w 1887 r. był czwartym dzieckiem w rodzinie, chodził do szkoły. Jestem w posiadaniu listu od jego najstarszego brata, który przed I wojną światową wyjechał do Ameryki. List ten jest pisany takim samym charakterem pisma, jak pis-

mo mego Ojca. Świadczy to o tym, że we wsi, z której pochodzę, czyli Straszylu, szkoła 3- lub 4-klasowa była w 1890 r. lub nieco wcześniej.

Jak opowiadali moi Rodzice, a także w tym czasie, kiedy ja chodziłam do szkoły i do 1939 r., kiedy nauczyciel wchodził do klasy, dzieci stojąc mówiły „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Nauczyciel odpowiadał „Na wieki wieków amen” i zaczynał, zegnając się, Ojcze Nasz i Zdrowaś Maryjo. Tak samo po skończonych lekcjach. Czasem śpiewało się jeszcze: „Kiedy ranne wstają zorze”.

Nauczyciele byli przygotowani do zawodu, wykształceni i z powołania; starali się i potrafili w trzech – czterech latach nauczyć wiejskie dzieci kaligraficznego pisanie, gramatyki, płynnego czytania, tabliczki mnożenia i dzielenia, przyrody, geografii, miary, kopy, litry, tuziny, kilometry itp. W historii polskiej był z ich strony wielki nacisk na najważniejsze wydarzenia historyczne w naszym kraju, jak początek państwa, panowanie Piastów i Jagiellonów, Sasów, elekcje, zasłużeni hetmani, przywódcy powstań, Konstytucja 3 Maja.

Matematykę, polski i historię, to wpychali w umysły nie zawsze pojętnych dzieci ucząc tracili dużo nerwów i zdrowia. Byli to nauczyciele z krwi i kości, nie brali za darmo pensji, odpracowywali ją rzetelnie. Mieli czas na uczenie higieny,

piali zło. Była współpraca między rodzicami, nauczycielem i księdzem. To wspólne działanie przynosiło owoce. Ksiądz nie tylko odprawiał msze św., głosił kazania (nie było mikrofonów, ale stojącego na kazalnicy wszyscy słyszeli), udzielał sakramentów, organizował różne bractwa kościelne, uczył dzieci religii i śpiewu pieśni, ale byli też księża społecznicy, ci



porządku, poszanowania starszych, uprzejmości, punktualności, ochrony przyrody. Nauczyciel uczący śpiewu uczył hymnu narodowego „Jeszcze Polska nie zginęła”, „Boże coś Polskę”, patriotycznych piosenek, prowadził chór w szkole i kościele. W okresie Bożego Narodzenia dzieci przygotowywały jasełka.

**Na robotach ręcznych w szkole dziewczęta uczyły się szycia, podstawowych ściegów, haftu, chłopcy oprawiali książki, robili klatki dla ptaków, ramki do obrazków.**

Na 3 Maja, Jana Kantego, po I wojnie światowej na 11 listopada – święto niepodległości – wszystkie dzieci szkolne szły parami prowadzone przez grono nauczycielskie do kościoła na msze św. Każdy nauczyciel wychowawca stał w kościele przy swojej klasie, nie było rozmów, kręcenia się, dzieci stały modląc się lub śpiewając, bo taki przykład dawali nauczyciele. Mamy nie sadowiły swoich dzieci w ławkach, ławki w kościele były dla ludzi starszych.

Do 1939 r. nie było Dnia Nauczyciela. Nauczyciele na wsi nie dostawali od dzieci żadnych prezentów ani kwiatów na początek roku szkolnego czy imieniny i rozdanie świadectw.



Rodzice ceniili pracę nauczycieli i choć czasem ich dziecko zostało ukarane biciem nie reagovali, a kiedy przyznało się do tego, w domu dostało

poprawkę. Matka czy ojciec mówili: „na pewno zasłużyłeś/łaś na karę”.

W tamtych czasach nawet zdolne dzieci ze wsi nie miały możliwości kształcenia się w szkołach wyższych, bo za naukę trzeba było płacić czesne. Na taki koszt rodziców wiejskich nie było stać. Licea były tylko w większych miastach. Dawniej nie było maszyn do pisania, każdy dokument w gminie czy protokoły sądowe były pisane pięknym kaligraficznym pis-

mem ręcznym. Dlatego ludzi chodzących do szkoły przed wojną razi pismo teraźniejszych urzędników, bazgrzących brzydko i niewyraźnie, że trudno odczytać, co jest napisane, chociaż przeważnie piszą na maszynach, tylko w kasach czy na pocztach przy pobieraniu pieniędzy na kwitach kilka wyrazów czy dat piszą ręcznie.

Zanika wszystko co polskie, piękne i patriotyczne. Bardzo wątpię, czy dzisiejsi chłopcy w wieku 13, 14 lat poszliby bez przymusu i w takich warunkach, jakie były w czasie I i II wojny światowej, walczyć o odzyskanie niepodległości, kiedy synowie, mimo sprzeciwu rodziców, uciekali z domów, dodawali sobie lat, by być przyjętym do wojska czy powstania. Przykład Orląt Lwowskich. A czas okupacji w 1939 roku, podziemie, partyzantka, wywózki, obozy, więzienia, rozstrzeliwania, powstanie warszawskie – to są dowody patriotyzmu przekazywanego, wpajanego z pokolenia na pokolenie. Dzisiejsza młodzież, dzieci szkolne, gdy starsi na nabożeństwach w święta narodowe śpiewają „Boże coś Polskę” stoją jak niemowcy, bo nikt ich nie nauczył tej pieśni. Sądzę, że nie wiedzą, co to jest patriotyzm, przypuszczalnie nie znają tego słowa.

Ludzie starsi, wychowani w wierze, tradycjach, z wpojonym patriotyzmem, patrząc na dzisiejsze dzieci i młodzież, tak wiejską, jak i w miastach, bardzo ubolewają nad tym, że patriotyzm, pracowitość, poszanowanie dla starszych, uczciwość, rzetelność, prawda zanikły zupełnie, a niszczenie dóbr społecznych, profanowanie cmentarzy, kradzieże, zabójstwa, choroby spowodowane rozwiązłością, narkomania itp. szerzą się nie tylko w miastach, ale i na wsiach.

Wstręt do pracy na wsi, na roli, niechęć do dziedziczenia ojcowizny, pozbywanie się jej, nieuprawianie roli, byle by tylko nie zostać jej właścicielem. To są skutki pięćdziesięciu lat zakłamania naszej rodzimej historii, literatury, kultury.

## Choroby i leczenie na wsi

Lekarzy we wsiach nie było wcale, kilku w większych miastach. Jeden szpital na duży obszar i dużo mieszkańców. Koszty fachowego leczenia za duże na kieszenie wieśniaków, a dojazd do miasta, gdzie był lekarz, długi i niewygodny furmanką. Karetka pogotowia nie było na wsi. Dlatego ludzie na wsiach leczyli się domowymi sposobami, czyli ziołami, miodem i bańkami. I tak: na bóle żołądka podawało się napar z dziurawca, centurii i mięty. Przeziębienia, kaszle leczono herbatą z kwiatu lipowego, podawano wodę ze sokiem malinowym i wygrzewano chorego pod pierzynami.

**Bóle gardła łagodziło się gorącym mlekiem z miodem i masłem, okładami z gotowanych, gorących ziemniaków. Strzykanie w uszach leczyło się parówką z rumianku. Liście z kapusty przykładano na bolące głowy.**

Masazami, czyli smarowaniem, leczono nerwobóle kręgosłupa i inne. Kładziono na bolące miejsca woreczki z gorącymi otrębami, a także papkę z utłuczonych gorczycy. Obrzęki owijało się szmatą zmoczoną w serwatce. Na rany przykładano chleb pomieszany z pajęczyną dla zatamowania krwawienia. Dzieci latem od biegania boso miały poodbijane stopy, przeważnie pięty, na których tworzyły się ropnie nazywane odbitami. Taki ropień nabierał kilka dni, był przy tym wielki ból. Chcąc przyspieszyć wydostanie się ropy na zewnątrz przykładano na bolące miejsce liście babki, cebulę, tarte surowe ziemniaki. Przy grubej skórze pięty ropa nie mogła wydostać się na zewnątrz, ścinano skórę brzytwą i nakłuwno igłą.

Dzieci chorowały na choroby dziecięce: ospę, odrę, świnkę (nie było szczepień), ale nikt nie szedł z nimi do lekarza, a po kilku dniach leczenia powracały do zdrowia. Chorujące na dyfteryt umierały. Dzieci, które przeżyły wiek niemowlęcy

były odporne na choroby, mimo tego, że nie chroniono ich przed zimą. Karmione prostymi potrawami rosły i rozwijały się prawidłowo może dlatego, że miały dużo ruchu, bo od najmłodszych lat pracowały. Nie było dentystów na wsi, szczoteczki ani pasty do zębów, ale zęby miały zdrowe, pewnie dlatego, że nie jadły słodczy ani rozdrobnionych pokarmów. U dzieci, młodzieży i starszych nie było próchnicy zębów. Zdarzało się, że ludzie umierali z małymi ubytkami w uzębieniu, a niektórzy mieli wszystkie zęby umierając. Dłużej chorujących na wsi leczono bańkami stawianymi na bolące miejsca, piawkami, które miały ściągnąć niedo-

brą krew. Uniwersalnym lekiem był czosnek. Chorzy na gruźlicę, mimo dobrego odżywiania, czasem i leczenia przez lekarzy, umierali.

Przy kojarzeniu małżeństw zwracano uwagę, by w rodzinie dziewczyny czy chłopca nie było choroby świętego Walentego (padaczki). Takich chorób jak ciśnienie, zawały, cukrzyca na wsi nie było w tym czasie. Pewnie dlatego, że nie jedzono dużo mięsa, wędlin, słodczy, bo cukier był drogi – słodziło się sacharyną. Jedzono razowy chleb, potrawy z mąki razowej z otrębami, dużo mleka i jego przetworów, owoców i przestrzegano postów.

Powietrze było czyste, nie zatrute spalinami aut, dużo lasów i zieleni,

w piecach nie palono węglem tylko drewnem. Były to dobrodziejstwa sprzyjające zdrowiu ludzi i zwierząt. Rzadkością było padnięcie bydła, świni, konia czy ptactwa domowego.

#### Od redakcji

*Jest to fragment wspomnień pani Stefanii Obary, żołnierza AK pseudonim „Stefa”, poświęconych jej rodzinnej wsi – Straszylu. Autorka od 1940 r. mieszka w Tyczynie. Od stycznia 1981 r. była aktywną działaczką „Solidarności”. Obecnie jest członkiem Związku Solidarności Emerytów w Rzeszowie.*

## RÓŻNE OBLICZA PODKARPACIA

Karina Bester

### Święta u Łemków

Łemkowie to lud górski, zamieszkujący północne i południowe stoki Karpat Zachodnich, ściślej Niski i częściowo Zachodni Beskid. Z czasem wyodrębnili się w osobną grupę etnograficzną, której pochodzenie do dziś nie jest przez naukę jednoznacznie przyjmowane.

Łemkowszczyzna, ciągnąca się wydłużonym klinem po obu stronach Karpat od Osławy i Zaborca na wschodzie po Poprad na zachodzie, długo czekała na swoje osadnictwo. Na terenie polskim sięgnęło ono jedynie szerokich i żyznych kotlin – sądeckiej i jasielskiej. Było jednak ilościowo bardzo słabe.

Wiek XII to czas intensywnego zaludniania przedproża późniejszej Łemkowszczyzny. Głównie stało się to za panowania Kazimierza Wielkiego po przyłączeniu Rusi Czerwonej do Polski, kiedy zaczyna się na terenie nieckiej gorlickiej oraz krośnieńsko-sanockiej żywa działalność osadnicza.

W kształtowaniu się odrębności Łemków jako grupy etnicznej decydujące znaczenie miała przynależność do wschodniego kręgu kulturowego. Jednakże na przestrzeni wieków wzajemnych stosunków pomiędzy wyznaniem, nawet jeśli dochodziło do zatargów, to rzadko miały one charakter religijny. Dlatego w miejscowościach, gdzie była tylko cerkiew, modlili się w niej zarówno Polacy, jak i Rusini, i nikt nie robił z tego problemu.

Wiosna to czas, kiedy w przyrodzie budzi się na nowo życie. Kwiaty rozkwitają, ptaki budują gniazda, a my, ludzie, robimy porządki. Część z nas porządkuje też życie duchowe, oczekując tego najważniejszego – Zmartwychwstania Pańskiego.

U Łemków za początek okresu wielkanocnego przyjmowano podobnie jak i u innych chrześcijan pierwszą niedzielę po wiosennej pełni księżyca, zaraz po zrównaniu wiosennym, które ustalono na 21 marca.

W Kościele wschodnim obowiązywała zasada, że święto Zmartwychwstania nie może poprzedzać żydowskiej Paschy.

Wielkanoc, czyli „Wełykdeń”, rozpoczynała „kwitna nedila”. W tym dniu Łemkowie kręcili z lnu powrózek na nowy bat, którym wiązała „banitki” (wierzbinę z baziami) do święcenia. Bazie poświęconej palmy dawali krowom do jedzenia, podkładali na węgły nowo stawianych domów, resztę zostawiali do okadzania chorych, zarówno ludzi, jak i zwierząt. Patyczki z palmy palono w czasie burzy, żeby wypędzić diabła, w którego zwykle strzelają pioruny.

W ciągu Wielkiego Tygodnia szczególnie ważny był czwartek. Wówczas to bowiem dusze zmarłych błagają się po świecie, otwierają się groby i wilcze jamy, a także podziemne skarby, jakie można widzieć w postaci błędnych ogników lub przesypujących się pieniędzy.

Łemkowie odwiedzali wtedy groby, zaś ksiądz odprowadzał na cmentarzu „parastas”, czyli nabożeństwo za dusze zmarłych. Po zachodzie słońca wierni przychodzili do cerkwi na jutrznię, czyli „strost”. Podczas nabożeństwa Ewangelię czytano 12 razy, a wierni klękali po każdym fragmencie, natomiast pasterze wiązali na batkach węzełki. Czynność ta okazywała się bardzo pożyteczna latem, gdy np. krowy pogubiły się w lesie. Wystarczyło wówczas rozplątać supełek i zguba się znajdowała. Podczas „strostu” można było zobaczyć wszystkie bosorki mieszkające we wsi, gdyż gromadziły się one pod wieżą cerkwi, nie wchodząc do nawy (we wschodniej Łemkowszczyźnie nie znano tego typu wróżb).

W Wielki Czwartek chłopcy palili na polach ognisko, upamiętniając dzień, w którym powiesił się Juda (Judasz) po zdradzie Jezusa. Z ognisk tych przynosili płonące główne, którymi zapalali w domu nowy ogień. W tym dniu przestawano używać w cerkwi dzwonów, a do głosu dochodziły „kłapaczki”, czyli drewniane kołatki. Ze szczególnym zapalem korzystały z nich dzieci, wypełniając całą wieś niesamowitym hałasem. W cerkwiach do tego celu służyły duże, drewniane „tarapaty”, czyli poruszane za pomocą zębatego walca młotki, które uderzały z potężnym hukiem w drewniane pudło rezonansowe. Od Wielkiego Czwartku starsi mężczyźni i niektóre kobiety po zachodzie słońca nie przyjmowali posiłków, utrzymując post aż do niedzieli.

Począwszy od czwartku kobiety i dziewczęta zajmowały się farbowaniem i ozdabianiem jaj, które wchodziły w skład święconego. Pośród legend mówiących o pradawnym początku, było kilka łemkowskich: „gdy Chrystusa przybijano do krzyża z ran pociekła krew, ścinając się w małe czerwone jajeczka „kraszonki”; stojąca pod krzyżem Matka Boska oblewała je łzami, zmieniając w pisanki. Marta je pozbierała, a Matka Boża rozdała je na pamiątkę i przestrożę dzieciom,

by żyły w zgodzie i wzajemnej miłości”. Matka Boska robiła pisanki małemu Jezusowi i dlatego gospodynie farbowwały jajka i przy cerkwiach rozdawały małym dzieciom, głównie swoim chrześniakom. Jajka w ilości od kilku do kilkunastu sztuk, farbowano naturalnymi barwnikami otrzymanymi z korzenia sliwy, zielonego żyta lub łusek cebuli. Jeżeli miały to być pisanki, to przed farbowaniem woskiem rysowały dziewczęta wzory. Jajka rozdawały w Wielkanoc chłopcom, którzy się im podobali. Ci zaś bardzo starali się je zdobyć. Można się nimi było też wykupić od oblewania wodą w drugi lub trzeci dzień świąt.

Jeszcze w latach 30. XX wieku opowiadano, że przed świtem w Wielki Piątek kobiety biegały nago dookoła stajni, skrobały progi stajen u sąsiadów, gdzie stały dojne krowy. Starały się także uciąć im kawałek ogona, który paliły, a dymem okadzały własne stajnie i krowy (Jawornik). Przyczyniało się to do tego, że gospodarze „stawiali strażę”, by uchronić swe krowy przed czarownicami, które przyjmowały różną postać (np. żaby, sita), czarowały i odbierały krowom mleko (Czystohorb).

W Wielkim Tygodniu pieczono z żytniej maki specjalne pieczywo świąteczne zwane „paszą” lub częściej „paszką”. Wypiekano od 2 do 7 sztuk, największa była jak koło u wozu, czyli miała około 80 cm średnicy, pozostałe były mniejsze. Na rozrobione ciasto kładziono trzy gałązki ucięte z młodej wierzby, przykrywano płótnem i zostawiano, by ciasto wyrosło (czynność ta nie była regułą). Po wsadzeniu ciasta do pieca, kobiety skakały, by lepiej urosło – rosło bardzo duże i często trudno było je wyjąć z pieca. Dlatego też często przy otworze czeluści pozostawiano ruchome cegły.

**Od Wielkiego Piątku do Wielkiej Soboty w pobliżu cerkwi paliło ognisko, przy którym czuwali chłopcy. W Wielką Sobotę pod wieczór lub rankiem w niedzielę gospodarze przynosili pod cerkiew jadło do święcenia.**

Były to dwie paski, duża i mała, kielbasa, słonina, chrzan, ocet i pisanki. Paski związane w płachtę niósł gospodarz na plecach, reszta była w koszyku w ręku gospodyni. Po poświęceniu obowiązkowo trzeba było z paską okrążyć dom trzy razy, gdy na przeszkodzie stały płoty, czyniły to dwie osoby, podając sobie paskę z rąk do rąk. Używano jej też w celach leczniczych; chroniła także przed skutkami burzy i gradu.

Z poświęconej paski odkrawano trzy piętki zwane „okrajki” i przechowywano je owinięte w szmatkę – służyć miały uśmierzeniu bólu. W święta dzielono się nią. Istniało przeświadczenie, że w drodze powrotnej należy zbierać trzaski do koszyka, bo miało to przynieść szczęście w zbieraniu grzybów. Dodatkowo należało się śpieszyć, ponieważ kto pierwszy dotarł do domu z paską, ten jako pierwszy miał ukończyć żniwa. Paski przechowywano do Zielonych Świąt (tzw. Rusala) i wówczas częstowano się nimi, aby w następnym roku nie brakło chleba.

W pierwszym dniu świąt po Jutrzni młodzież urządziła sobie różne zabawy przed cerkwią. Dziewczęta bawiły się w „kupki”, polegającą na tym, że na placu przed cerkwią lub na drodze sadzono na ziemi w pewnych odstępach małe dziewczynki (owe „kupki”), natomiast starsze dziewczęta przechodziły między nimi w korowodzie prowadzone przez przewodniczkę, robiąc kółka, ósemki itp. Tradycyjną i bardzo powszechną w ruskich Karpatach zabawą młodzieży obojga płci był „Zelman”, rodzaj tańca, w czasie którego śpiewano piosenkę:

... Czoło ochocze Zelman  
Czoch ochocze jeha brat  
Czoło hocze Zelmanowa rodyna  
Panny ochocze Zelman...

Po krótkim targowaniu się o pannę, chłopcy i dziewczęta zamieniali się stronami. Inna zabawa pochodzi z Molochowa. Była ona urządzana na łące za cerkwią przez „księdzową”



(żona księdza grekokatolickiego). Polegała na zdobyciu fantów. W tym celu pod miską układano pieniądze i papierosy. Grającemu zawiązywano oczy, odmierzano 10 kroków od miski i okręcano dookoła. Grający musiał trafić w nią drewnianą pałką. Po trafieniu otrzymywał to, co było pod nią schowane i dodatkowo gorzałkę.

Podczas rezurekcji, gdy po długim milczeniu zadzwoniły dzwony, rodzice nakazywali swym dzieciom potrząsać drzewami owocowymi ze słowami: „wstawaj drzewo boś się wyspało, żebyś jakiś owoc dało”.

Kropiono święconą wodą pola; tam, gdzie była posiana pszenica, rozrzucono okruszyny z paski, aby

się rodziła pszenica wielka jak ta paska.

W Wielkanoc Łemkowie chodzili nad rzekę, aby zobaczyć ryby. Komu się udało, był zdrow jak ryba i czekało go „welike szczastie”. Chłopcy biegali po domach, zbierali pisanki, a proceder ten starali się przedłużyć na następny dzień, często spotykało ich „wodowanie”. Generalnie oblewanie wodą, odbywające się w drugi dzień świąt, było przywilejem chłopców. W praktyce dyngus przeradzał się w szaleństwo graniczące z karygodną dzikością. Wrzucano dziewczęta przemocą do stawu lub rzeki, oblewano im głowy wodą z wiader – przeważnie wbrew ich woli. Tak-

że w tym dniu, ale przed świtem, chłopcy robili różne złośliwości, np. wynosili wóz na dach, wrzucali pług do studni, zamazywali okna domów, żeby ludzie nie wiedzieli, że już dzień itp.

Wiele z tych łemkowskich obrzędów przewija się i w rzymskokatolickich tradycjach, jednakże życie jest coraz szybsze, coraz bardziej zmaterializowane i brak nam czasu, chęci, a często to już „niemodne”, archaiczne dla młodzieży. Więc zostaje to odkrywanie przeszłości dla prawdziwych miłośników, a szkoda, bo wędrując choćby bieszczadzskimi szlakami, mijając jakąś cerkiew, warto by wiedzieć coś więcej.

Jan Lucjan Wycisław

## CHRZEST LITWY

28 czerwca 2007 r. minęła 620. rocznica chrztu Litwy. Litwini ustanowili datę tego ważnego w historii Europy wydarzenia na rok 1387 r. Tymczasem akt ten rozpoczęty w tym właśnie roku, zakończony został wiele lat później i dokonał go rzeszowianin, arcybiskup lwowski Jan z Rzeszowa 1345–1436.

Od chwili nadania przez króla Kazimierza Wielkiego miasta Rzeszowa wraz z okolicami Janowi Pakosławowicowi ze świetnego rodu rycerskiego wywodzącego się ze Strojysk u podnóży Gór Świętokrzyskich, pieczętującego się herbem Półkozic, ród ten, posiadający w kraju liczne majątki i posiadłości, zachwyił się nowym nadaniem do tego stopnia, że wkrótce wszelkie pisma i korespondencję rodu zaczęto podpisywać „z Rzeszowa”.

To wkrótce (XVI w.) pozwoliło na powstanie nowego nazwiska spośród polskich rodów szlacheckich nazwiska Rzeszowskich. Historia współczesna zatarła niemal całkowicie istnienie i działalność publiczną rodu, dlatego warto wreszcie ją przypomnieć.

W Wielki Piątek wierni obecni na mszy św. odprawianej w Katedrze Wawelskiej o godz. 15 adorują relikwię Gwoźdź Pańskiego. Z najwyższą czcią całują podawaną im kryształową szkatułkę z relikwią. Tradycja tego dnia trwa od niepamiętnych czasów, mimo że nabożeństwo nie jest nigdy zapowiadane. Relikwię tę papież Marcin V dał królowi polskiemu Władysławowi Jagielle za to, że chrzest Litwy dokonał się bez przelewu krwi, bez ognia i miecza, ale przez nauczanie prawd wiary. Prawie nikt już nie pamięta, że ta szczególna pamiątka dokumentuje dzieło chrystianizacji Litwy i Żmudzi, dokonane przez współwłaściciela miasta Rzeszowa, Jana (1345–1436), nazywanego Janem z Rzeszowa, herbu Półkozic.

XV-wieczni właściciele miasta Rzeszowa i okolicznych włości obejmujących tzw. dominium rzeszowskie występują we współczesnym przekazie publicznym niezwykle rzadko. W budynku miejskiego ratusza w Rzeszowie wielkie witraże fronto-

wego okna przedstawiają wiele postaci zasłużonych w historii miasta za wyjątkiem przedstawicieli rodu Rzeszowskich. W zasobach muzealnych i archiwaliach miejskich prawie nie istnieją pamiątki po tym wielkim rodzie, może z wyjątkiem uzyskanego w roku 2001 „Dyplomu Buszceckiego” – jedynego pergaminu, świadczącego obecnie w mieście Rzeszowie o działalności tego rodu (przechowywany jest w WiMBP). Nie dostrzeżemy w miejscach publicznych, kościołach publicznej ekspozycji, zdjęcia, rysunku czy kopii krzyża z diademów, zwanego też Krzyżem Kazimierza Jagiellończyka lub Krzyżem Rzeszowskich. Przechowywany jest w skarbcu Katedry na Wawelu jako jedna z najcenniejszych pamiątek naszej narodowej historii (niektórzy uważają, że jest on trzecią pamiątką po szczerbcu i włóczni św. Maurycego), a przecież jest to jednocześnie najcenniejsze obecnie resovianum, powstałe dzięki działalności i finansom właściciela miasta Jana z Rzeszowa (1411–1488). Jak widzimy po datach było



kilku Janów o tym samym nazwisku, działających w różnych epokach. Niestety, historia nie zapisała ich w pamięci rzeszowian. Jednak nie tylko w Rzeszowie niedostrzegana jest historyczna działalność członków tego rodu, który nie miał szczęścia do publikacji i książek historycznych. Wspominana jest tam historia Akademii Krakowskiej, jednak nie dostrzegamy na stronach dzieła istnienia dwóch postaci: Jana z Rzeszowa (1345–1436) czy też Jana z Rzeszowa (1411–1488), a przecież są to postacie mające wybitny wpływ na kształtowanie historii tych miejsc, a na co dzień obecne i często wręcz niezbędne w życiu i działalności rodziny Jagiellonów.

Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk wydał w 1997 r. dzieło pt. „Kultura Polski Średniowiecznej XIV–XV w.” pod redakcją prof. Bronisława Geremka. Tysiącstronicowe dzieło ani razu nie wspomina nazwiska Rzeszowskich, z których chociażby Jan (1345–1436) był głównym motorem powstania administracji i szkolnictwa parafialnego zapoczątkowanego w XV w. na terenach królestwa Jagiellonów na wschód od Bugu. W dziele tym królowa Elżbieta Pilecka-Granowska wspomniana jest pięć razy. Jeden raz jako donator Uniwersytetu, jeden raz z powodu braku epitafium, a pozostałe trzy razy w kontekście napisanego przeciw niej przez Ciołka wulgarnego paszkwilu – satyry. A ani razu nie dostrzeżono jej chociażby jako królowej, która za cel życia przyjęła upowszechnianie języka polskiego w Europie. Ona ze swoim mężem Wincentym Granowskim, jako jedna z pierwszych możnowładczyń, wprowadziła obowiązkowe używanie języka polskiego na swoim dworze i zasłynęła z kultury układów w stosunkach z Zakonem Krzyżackim. To Wincenty Granowski, kontynuując myśl rodzinną, podczas swojego przewodniczenia polskiemu poselstwu na sąd w Pradze, w sporze polsko-krzyżackim (rozjemcą był król Wacław Czeski), słysząc, że pro-

ces sądowy odbywa się wyłącznie w językach niemieckim i po łacinie, a nie używa się tam języka polskiego, nakazał zawiesić udział polskiego poselstwa w tym procesie.

**W wielkim i licznym rodzie Rzeszowskich oprócz pierwszego właściciela miasta Rzeszowa rycerza Jana ze Strożysk, głównie dwóch jego potomków wspięło się dzięki swojej działalności na publiczne szczyty kariery w XIV- i XV-wiecznym państwie polskim. Byli to Jan z Rzeszowa (1345–1436) oraz Jan z Rzeszowa (1411–1488).**

Genealogię rodu odnaleźć można w historii miasta Rzeszowa, w której jednak ci dwaj wybitni nie są jakoś szczególnie uwidocznieni. Sądzę, że przedstawiona poniżej historia pozwoli nie tylko przypomnieć, ale też ocenić, czy ludzie ci rzeczywiście zasługują w historii Polski na większą niepamięć. Ich rodowa siedziba, XIV-wieczny Rzeszów, przedstawiany jest w dotychczasowych opisach historycznych jako nieduża osada rzemieślniczo-handlowa, pilnująca nadrzecznych przepraw, leżąca na samej granicy państwa króla Kazimierza Wielkiego. Opisy wykopalisk z tego okresu pokazują nam jedynie resztki ceramicznych naczyń używanych niegdyś w mieście. Tymczasem swoje wybitne dzieła dwaj Rzeszowscy finansowali głównie z dochodów czerpanych z miasta i okolicy, a więc z pracy rzeszowian, co świadczy jak bogaci byli kiedyś mieszkańcy naszego miasta. Warto chociażby pod tym kątem dostrzec, jak ważny był to ośrodek w ówczesnym królestwie Jagiellonów, gruntujący jego potęgę i chwałę.

### Propozycje Żmudzinów

Myśl o wyższości soborów nad prymatem papieża (propagowana w tamtych latach również przez Akademię Krakowską) stwarzała możliwość rozwiązywania w czasie soborowych posiedzeń nie tylko problemów Kościoła, ale również spraw politycznych Europy. Król Władysław do-

strzegł, że daje mu to szansę na pomyslnie załatwienie nabrzmiałych od dawna problemów północnych granic jego państwa. W roku 1236 w bitwie pod Szawłami Litwini zadali druzgocącą klęskę Zakonowi Kawalerów Mieczowych w Inflantach, co zmusiło jego resztki do połączenia się i prowadzenia odtąd wspólnej polityki, razem z utrzymującymi swą potęgę Krzyżakami. Ta wspólna polityka to stworzenie jednego systemu militarnego, zajmującego się głównie ekspansją terenów wokół Bałtyku i wchłaniającego kolejne ludy i ich krainy w terytorium podległe Zakonowi. W końcu ekspansja objęła też tereny Żmudzi i to tym łatwiej, że książęta litewscy: Jagiełło, Świdrygieł, a w końcu Witold, odstępowali uroczyscie i na wieki tereny żmudzkie zakonowi rycerskim. Żmudź broniła się przed tym zaciekle, zadając najeźdźcom liczne klęski, w tym największą, jaką poniósł Zakon w XIV w., 13 VII 1260 r. w bitwie nad jez. Durbe.

Żmudź nigdy nie uznawała władzy Litwinów, rządzona przez swoich bojarów i publiczne wiece. Niemniej jednak w 1398 r., a więc w czasie, kiedy uznawała zwierzchność króla polskiego, książę Witold ponownie ofiarował Żmudź Krzyżakom, czyniąc to wbrew polityce zjednoczeniowej Jagiełły. Król Władysław był nazbyt wytrawnym politykiem, by wszczynać wojnę ze swym bratem. Zdecydował się wykorzystać legalne atuty, jakimi byli wybitni ludzie jego królestwa. Stworzył plan, którego głównym realizatorem miał zostać arcybiskup Jan z Rzeszowa.

**Poddany królewskiej woli rzeszowianin liczył już 70 lat. Ciężył na nim wielki obowiązek uformowania nowej, powstającej w arcytrudnych warunkach, ważnej jednostki administracyjnej Kościoła i państwa, jaką była archidiecezja lwowska.**

Ponadto samo miasto Lwów wymagało jego opieki i pomocy finansowej. Arcybiskup jeszcze w 1415 r. powołał pierwszego kanonika, by móc upo-

sażyć kapitułę, zabezpieczając jej dochody w żupach drohobyckich oraz cłach. Ale budowana od 1360 r. katedra lwowska po 55 latach budowy miała dopiero prezbiterium z absydą, a na budowę siedziby arcybiskupstwa w Dunajowie trzeba było jeszcze czekać wiele lat. Mimo tych wszystkich obowiązków, sędziwego wieku, zdając sobie sprawę z trudów, jakie miały go spotkać w trakcie wyjazdu do zupełnie nieoczekujących go północnych krain, poddał się pokornie woli króla.

Stało się to z dala od krzyżackich szpiegów i dworu Witolda we wrześniu 1415 r., kiedy to do Dobrostanów pod Lwowem przybył król Władysław, przywożąc ze sobą kasztelana kaliskiego, rycerza Zarębę z Tuliszkowa z propozycją, aby ten ostatni jako poseł na sobór w Konstancy (obradujący od 16 XI 1414 r.) dołączył do znajdującej się tam (od 29 I 1415 r.) polskiej delegacji, na czele grupy 60 Żmudzinów. Woli króla stało się zażość i wkrótce delegacja Zaręby wystąpiła przed obliczem soboru (16 II 1416 r.) przedkładając na forum dokument zwany Propozycją Żmudzinów. Dokument ten stwierdzał, że Krzyżacy zajęci egzekwowaniem spraw finansowych i grabieżą ludności (kryzys finansowy Zakonu spowodowany klęską grunwaldzką) zaniechali zachęcania ludności do przyjmowania chrztu, na opuszonych terenach nie wzniesli żadnego kościoła, zaś Zakon przygotował dla narodu żmudzkiego eksterminację (*quod mortem et destructionem nostram machinati fuerant*). Proszono sobór o wydanie stosownych pełnomocnictw biskupom polskim dla dokończenia aktu chrystianizacji. Delegat Zakonu przedstawił jeden, jakże skromny kontrargument: „ochrzczono 80 Żmudzinów trzymanyh na zamku w Malborku jako zakładników”.

W tej sytuacji 1 VIII 1416 r. arcybiskup Jan z Rzeszowa i biskup wileński Piotr otrzymali listem soborowym *Misericors et miserator* stosowne peł-

nomocnictwa i mogli zgodnie z wymogami ówczesnego prawa dokończyć dzieła chrystianizacji jednego z ostatnich narodów europejskich, pozostającego dotąd poza wspólnotą państw chrześcijańskich. Dzieło, które ich czekało wydawało się dotychczas prawie niemożliwe do zrealizowania. Prowadzona na tych terenach polityka Zakonu Krzyżackiego sprawiała, że wielu hierarchów Kościoła i przedstawicieli papieżstwa, odwiedzających te tereny, nawet nie próbowało podjąć się trudu chrystianizacji ludów nadbałtyckich. Długa ich lista wskazuje, jak wielkiego trudu podejmował się lwowski arcybiskup Jan, udając się na tereny północy.

Arcybiskup Jan, nie zważając na oczekujące go trudy (ani na kłopoty wymienionych wyżej wysłanników papieża) rozpoczął podróż niezwłocznie, podróż, która przez błota Polesia, puszcze Litwy, aż do żmudzkich rojstów bez względu na to czy odbyta drogami, czy też wiślaną szkatą musiała być dla 71-letniego człowieka rzeczą niezwykle uciążliwą. Wiedział jednak, że jeżeli chce sprawnie zrealizować plan, wypełniając tym samym wolę króla popartą decyzjami soboru, to musi się spieszyć. Była przecież już połowa lata, a zimy na Żmudzi bywały wczesne i surowe, uniemożliwiające kontakty z miejscowymi ludźmi.

Wiedział ponadto, że osłabiony Zakon znacznie niedługo dążyć do zmiany soborowych postanowień i posiada wiele skutecznych sposobów, by to uczynić z korzyścią dla siebie. Czas nagił i okoliczności nie pozwalały na żadną zwłokę. Jan z Rzeszowa był przecież rycerskim potomkiem, członkiem rodu Półkożiców, zatem rozpoczętą podróż odbył pomyślnie i zakończył ją wielkim sukcesem.

### Patriarcha

Wyjazd Jana z Rzeszowa na Żmudź, po otrzymaniu soborowych pełnomocnictw, które wyjazd ten mu zlecały, był natychmiastowy, co świadczy, że był to wyjazd wcześniej staranie

przygotowywany. Arcybiskup miał w tej sprawie zapewnione poparcie i pomoc finansową królewskiego dworu, jako że przedsięwzięcie przekraczało możliwości finansowania go przez skromnie uposażoną kapitułę archidiecezjalną. Było to ponadto przedsięwzięcie w skali międzynarodowej i królowi bardzo zależało na jego sukcesie.

Wyjeżdżając na północ otrzymał do dyspozycji poczet polskich rycerzy, którzy służyli mu nie tyle do obrony, co do dodania splendoru wyprawie, a ich rycerskie poczty pomagały i ochraniały ogromny transport białego lnianego płótna oraz innych przedmiotów niezbędnych zarówno do prawidłowego dokonania obrzędu, jak i do uposażenia kościołów, które zamierzano erygować dla późniejszych żmudzkich neofitów.

Płótno miał dostać każdy przystępujący do chrztu, aby okryć nim swoje nagie ciało podczas zanurzenia w wodzie, poświęcanych w tym celu żmudzkich jezior. Otrzymywał je jako dar z okazji pamiątki chrztu, każdy zarówno mężczyźni, jak i kobiety chrzczeni zbiorowo z podziałem na grupy, pod względem płci, którym wspólnie nadawano imiona męskie bądź żeńskie. Jak wielki był to transport świadczy fakt, że płótno musiał dostać każdy neofita przed przystąpieniem do obrządku, a zamierzano dotrzeć przynajmniej do 4 tys. Żmudzinów. Z początkiem XV w. jeden tkacz na swoim warsztacie mógł w ciągu roku utkać 100 sztuk takiego płótna, a przecież istniały potrzeby dostarczania płótna na obrzeża powstającej archidiecezji.

Z chwilą przybycia arcybiskupiego orszaku na terytorium Księstwa Litewskiego, wyjechał mu na powitanie dwór Wielkiego Księcia, z marszałkiem Butrymem z Żyrmonów i starostą żmudzkim Michałem Kieżgajłą na czele; był też z nim zapewne biskup wileński Piotr. Wielki Książę Witold przyłączył się do orszaku i odtąd przez cały czas mu towarzyszył, do chwili przybycia wszystkich do Kowna.



Sam akt chrztu, poprzedzony przecież dużo wcześniejszą katechezą prowadzoną na Litwie i Żmudzi, chociażby przez wybitnych ludzi Akademii Krakowskiej, takich jak krakowski królewski kaznodzieja Mikołaj Wężyk z Giebułtowa, głoszący nauki przy pomocy tłumaczy, czy prawnik, rektor Akademii Krakowskiej, biskup wileński w latach 1408–1415, znający język litewski Mikołaj z Gorzkowa, musiał być dokonany ponownie również na terytorium litewskim. Powodem tego był stosunkowo nikły rezultat dotychczasowej chrystianizacji, gdyż według relacji pewnego franciszkanina, naocznego świadka i uczestnika dotychczasowej akcji Kościoła, chrzest w diecezji wileńskiej przyjął około 20 tys. ludzi. Ponadto Krzyżacy, kierując się względami dotychczasowej swojej polityki, starali się wszelkimi sposobami unieważnić dotychczasowe działania polskiego Kościoła. Starali się oni wywołać w Rzymie wrażenie, że zarówno król, jak i książęta litewscy są chrześcijanami fałszywymi, gdyż jak głosili publicznie „król jedynie dla chęci posiadania królestwa i dla pięknej Jadwigi dał sobie połączyć głowę odrobiną wody”. Głosili też kłamliwie, że Jadwiga jest nadal żoną Wilhelma Habsburga.

Może nie dziwić nikogo fakt, że czynili to Krzyżacy, ale dziwi, że również obecnie tę i inne plotki powstałe w ustach osób zawistnych Jagiellonom w XV w. powtarzają niektórzy współcześni autorzy książek o życiu królewskiej dynastii. Odnawiając akt chrztu na Litwie, arcybiskup Jan z Rzeszowa czynił to w tych samych miejscach, gdzie chrzczono w roku 1387, a więc w Kownie, Trokach, Wiłkomierzu, Mejszagołe, Niemenczynie, Hajnie, Krewie, Obolcach. Istniały tam już bowiem pierwsze erygowane w międzyczasie parafie. Na Żmudzi zaś polecił uczynić to w miejscowościach: Ejrogoły, Rosienie, Kroże, Widukle, Kołtyniany, Łukniki i Miedniki (Wornie). Z wyjątkiem Łuknik i Szawian, gdzie istniały już kościoły, we wszyst-

kich wymienionych miejscowościach stopniowo miano erygować nowe. Pozwoliło to utworzyć pierwszą sieć parafialną diecezji żmudzkiej. Na siedzibę diecezji arcybiskup wskazał miejscowość Wornie, w której istniał parokrotnie zdobywany przez Krzyżaków w latach minionych gródek Miedniki.

Wprawdzie źródła historyczne zajmujące się chrystianizacją Litwy często podają, że żmudzką diecezję w Miednikach ustanowił książę Witold, a Litwę chrzcił król Jagiełło, jednak, widać, jest to tylko wielki skrót myślowy, często i błędnie powtarzany przez współczesnych. Zgodnie bowiem ze średniowiecznym podziałem władzy pomiędzy: regnum, sacerdotium, studium, czyli władzę królewską, kapłańską i uniwersytecką, arcybiskup miał jej wystarczająco dużo, aby wyznaczać samodzielnie siedzibę diecezji, erygować ją i prosić o zatwierdzenie decyzji papieża. Księcia prosił jedynie o godne uposażenie tejże, jako że Żmudź była krajem biednym, często łupionym przez wojska zakonu. Chcąc ulżyć doli Żmudzinów, arcybiskup Jan całkowicie zwolnił ich od opłat na rzecz kościoła, przenosząc koszty utrzymania na wielkopsząjący dwór litewski.

Diecezję w Miednikach erygował Jan z Rzeszowa na mocy uprawnień legata papieskiego dekretem *Litteras sacrosanctae*, 24 października 1417 r. Natomiast 20 listopada tego roku skierował do społeczności soborowej list *Decebat cogebatque*, w którym powiadomił ją o dokonaniu dzieła chrystianizacji, ochrzczenia licznych bójców, powołania 8 parafii i powołania do życia diecezji żmudzkiej. Podobnie uczynił też wkrótce król Jagiełło. Oba listy zostały przyjęte z wielkim zadowoleniem przez uczestników soboru w Konstancji. Świadkowie wydarzenia twierdzą, że treść listów czytano przy stojącym audytorium, a większość słuchaczy, uczestników soboru, miała w czasie czytania łzy w oczach.

Ostatni wielki akt chrześcijaństwa, jaki dokonał się wśród europejskich narodów, dopełniony został wydaną 31 maja 1421 r. bullą papieża Marcina V udzielającą neofitom Żmudzinom jego apostolskiej opieki i ustanawiającą arcybiskupa lwowskiego oraz biskupów: miednickiego i wileńskiego opiekunami i sędziami dla narodu żmudzkiego, do których wszyscy poszkodowani i pokrzywdzeni winni się zwracać.

Akt ten sankcjonował de facto przyłączenie diecezji żmudzkiej pod władzę lwowskiej metropolii. Jednak zamiast porządkować stan rzeczy zjednoczył tylko przeciwników władzy arcybiskupiej, którzy odtąd wspólnie zaczęli szukać sposobów, aby mu się przeciwstawić. Przyniosło to wkrótce oczekiwane skutki. Przyczyniły się też do tego wydarzenia na zupełnie innym terenie. Lwowski arcybiskup był jednak zbyt światłym człowiekiem, by przeciwstawiać się wydarzeniom małostkowym. Nie licowało to bowiem z jego służbą dla Kościoła i króla.

### Ślad na mapie

Tereny zamieszkałe kiedyś przez nadbałtyckie ludy Aistiów zwanych też Estami, tworzących współcześnie państwo Estonię, zostały najebrane przez nadciągające z Dniepru plemiona Żmudzinów i Litwinów. Oba narody przyzwyczajone do życia w stepie nie widziały żadnej korzyści z dostępu do wód Bałtyku. Osiedlając na północy, powiększały terytorium swojego nowego państwa w kierunku dawnych siedzib stepowych, dochodząc aż do wybrzeży Morza Czarnego, jednak pobliski Bałtyk pozostawiając za swoimi plecami. Tereny nadbrzeżne pozostawały nadal w posiadaniu nielicznych już Aistiów i weszły wraz z nimi w skład państwa administrowanego przez Zakon Krzyżacki. Na obrzeżu tych terenów Żmudzi i Litwini utworzyli dwie odrębne państwowości, czyli Żmudź i Auksztotę. Położoną niedaleko bałtyckich wybrzeży, istniejącą do dzisiaj, żmudzką

miejscość Wornie umocnili gródkiem Miedniki. Była to zwykła sypanka zwana z litewską piłkalką. Gródek, wielokrotnie zdobywany przez Krzyżaków i na powrót odzyskiwany przez Żmudzinów, strzegł znajdujących się na tych terenach głównych miejsc kultu żmudzkich bogów, świętych borów ośrodka kultowego Romove. Krzyżacy nigdy nie byli zainteresowani w zmianie statusu tych pierwotnych terenów, ponieważ stanowiły one dla nich doskonałe miejsce wypadowe dla urządzanych często rycerskich wypraw, na które jakże chętnie przyjeżdżali wybitni rycerze całej ówczesnej Europy. Wyprawy te, często kończące się krwawymi bitwami, organizowane były nie dla łupów czy zdobyczy terenowych, a jedynie dla przeżycia kolejnej rycerskiej przygody. Żmudzini, gdy udało się im odnieść zwycięstwo, pojmanych jeńców, często w pełnej zbroi wraz z ich bojowymi rumakami, palili żywych w borach Romove, składając ofiarę swoim bogom. Teren nadbrzeżny łączący ze sobą zjednoczone w walce zakony Krzyżacki i Inflanckich Kawalerów Mieczowych i będący swoistym pomostem służącym przemarszom lu-

pieńczych armii, postanowił odzyskać arcybiskup Jan dla nowo powstającego państwa litewskiego. Aby to uczynić, musiał podważyć podstawy ekspansji wypraw rycerskich, czyli zamienić te pierwotne kultowe tereny szczepowe w teren katolickiej diecezji podległej nowemu państwu.

24 X 1417 r. w gródku Miedniki ufundował arcybiskup Jan mały kościółek, który legaci papiescy podnieśli do rangi katedry pod wezwaniem Trójcy Przenajświętszej, Chwalebnej Dziewicy Bożej Rodzicielki Maryi, świętych apostołów Piotra i Pawła i świętego Aleksandra Papieża i Męczennika, osadzając w niej biskupa Macieja z Wilna.

Nowa diecezja peryferyjnie odległa od narodowych centrów Aukštooty i Żmudzi, zachodnią swoją granicą oparta o wybrzeże Bałtyku, rozciągała niczym miecz zasilające się nawzajem dwa rozbójnicze zakony rycerskie, doprowadzając tym samym do całkowitego upadku, pozbawiony odtąd krzyżackich posiłków Zakon Inflanckich Kawalerów Mieczowych.

Jan, chcąc zachować pieczę nad jej dalszym rozwojem, włączył diecezję żmudzką pod bezpośrednią wła-

dzę lwowskiej metropolii. Czyn Jana dał Litwie należny jej odtąd dostęp do bałtyckiego wybrzeża. Akt ten utrzymujący dotychczasową niezależność religijną Żmudzi został przyjęty wrogo zarówno przez księcia Witolda, Zakon Krzyżacki i arcybiskupa gnieźnieńskiego Mikołaja Trąbę. Do Rzymu popłynęły liczne skargi zjednoczonych w tej sprawie wrogów arcybiskupa.

Kuria rzymska nie podważyła jednak Janowego dzieła. Po pewnym czasie chcąc uspokoić nastroje w obozach przeciwników arcybiskupa przekazano tereny północne archidiecezji lwowskiej we władanie Gniezna. Arcybiskup Jan nie zmarnował wydatków poczynionych ze swojego rzeszowskiego majątku, a ukształtowane przez niego tereny wybrzeża Bałtyku przetrwały wszystkie burze dziejowe i istnieją do dzisiaj. Sama miednicka diecezja przetrwała do czasów rozbiorowych, kiedy to została zlikwidowana „carskim ukazem”. Jakże inaczej kształtowałyby się dzisiaj tereny obrzeży Bałtyku oraz państwa polskiego, gdyby wielka enklawa terenów zakonnych była obecnie własnością współczesnej Rosji.

Grzegorz Ostasz

## HONOROWE OBYWATELSTWO RZESZOWA DLA ŻOŁNIERZA NIEPODLEGŁEJ

We wrześniu br. złożono wnioski o przyznanie honorowego obywatelstwa Rzeszowa dla płk. Mieczysława Wałęgi. W gronie wnioskodawców znaleźli się: posłanka Anna Pakuła-Sacharczuk, Regionalne Stowarzyszenie Pamięci Historycznej „ŚLAD”, Stowarzyszenie na rzecz Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego „ŁASOWIACY”, Unia Polityki Realnej Okręg Podkarpacki, Związek Strzelecki „STRZELEC”, Klub Historyczny im. Łukasza Cieplińskiego, Światowy Związek Żołnierzy AK, Zrze-

szenie Wolność i Niezawisłość, Podkarpacki Związek Piłsudczyków. Z tej okazji przedstawiamy sylwetkę – liczącego dziś 93 lata – pułkownika Wałęgi.

Wałęga Mieczysław Jerzy „Jur”, „Mat” (ur. 1 maja 1914 r. w Rzędzinie, pow. Tarnów; syn Leona i Julii z domu Curyło), oficer służby stałej WP, oficer AK, działacz emigracyjny.

Uczył się w szkole powszechnej i gimnazjum w Tarnowie. W lutym 1930 r. – po ukończeniu pięciu klas gimnazjum – został przyjęty do Korpusu Kadetów nr 2 w Chełmnie. Tam

w maju 1936 r. zdał egzamin maturalny. Miesiąc później rozpoczął kurs Szkoły Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej-Komorowie, który ukończył z wynikiem bardzo dobrym. Awansował do stopnia sierżanta podchorążego i objął dowództwo plutonu. 15 października 1938 r. otrzymał nominację do stopnia podporucznika służby stałej piechoty (specjalność rozpoznawanie) oraz przydział do rzeszowskiego 17. pułku piechoty, gdzie objął najpierw dowództwo plutonu, a następnie 3. kompanii.





Mieczysław Jerzy Wałęga

Walczył we wrześniu 1939 r. Dowodził 4. kompanią II batalionu 165. pp. należącego do składu 36. Dywizji Piechoty z Armii „Prusy”. Kiedy jego pułk został rozбитý przez Niemców pod Częstochową, dołączył – z żołnierzami swojej kompanii – do 92. pp. 19 września – po okrążeniu przez Niemców – koło Zwierzyńca, uniknął niewoli i 28 września dotarł do Rzeszowa.

Zaangażował się w konspirację. Należał do grupy oficerów 17. pp (por. Franciszek Lang, por. Jan Musiał, por. Stanisław Wiśniowski), którymi dowodził kpt. Franciszek Blok („Soplica”). Nawiązał kontakt z siatką Polskiej Organizacji Zbrojnej. W listopadzie 1941 r. został zaprzysiężony do Związku Walki Zbrojnej. Został adiutantem por. Łukasza Cieplińskiego („Pług”), inspektora Inspektoratu ZWZ Rzeszów.

Był wykładowcą i egzaminatorem na kursach Szkoły Podchorążych Rezerwy. Wizytował takie kursy w obwodach: Rzeszów, Dębica, Kolbuszowa. W 1942 r. został oficerem wywiadu i kontrwywiadu Rzeszowskiego Inspektoratu AK. Wiosną 1943 r. przygotowywał w Rzeszowie lokale dla płk. Kazimierza Putka („Zworny”), który obejmował komendę Rzeszowskiego Podokręgu AK. Pozosta-

wał w kontakcie z Zenonem Sobotą („Świda”), oficerem dywersji podokręgu. Kierował pracami wywiadu AK wokół niemieckiego poligonu Blizna-Pustków. 11 grudnia 1943 r. sporządził szczegółowy raport o niemieckich próbach z bronią rakietową V-2 na poligonie Blizne.

W lutym 1944 r. otrzymał przeniesienie do Inspektoratu AK Tarnów, gdzie objął funkcję adiutanta mjr. Stefana Musiałka-Łowickiego („Mirosław”), inspektora tarnowskiego. W kwietniu 1944 r., rozkazem komendanta Okręgu AK Kraków, awansował do stopnia porucznika ze starszeństwem z 11 listopada 1943 r. Uczestniczył w przygotowaniu specjalnych akcji lotniczych „Most II” i „Most III”. Odpowiadał za łączność ze zrzutowiskami. Jako oficer 16. pp AK wziął udział w „Burzy”. W końcu 1944 r. organizował pomoc materialną i legalizację żołnierzom kpt. Adama Lazarowicza („Klamra”) z Obwodu AK Dębica. Po sowieckiej ofensywie ze stycznia 1945 r. zamieszkał w Krakowie. Od października 1945 r. działał w Zrzeszeniu WiN w Gliwicach. Był kierownikiem (oficerem) bezpieczeństwa (kontrwywiadu) Okręgu Śląsko-Dąbrow-

skiego WiN. Używał wówczas „lewego” nazwiska Jan Synoś.

Tropiony przez funkcjonariuszy UB, opuścił Polskę w marcu 1946 r. 3 maja 1946 r. rozpoczął służbę jako oficer w II Korpusie Polskich Sił Zbrojnych. Od października 1952 r. do 15 sierpnia 1985 r. był zaangażowany w Brygadowym Kole Młodych „Pogoń” (załączek Polskich Sił Zbrojnych) jako oficer wyszkoleniowy Szkoły Oficerskiej. W 1957 r. – pod egidą polskiego rządu emigracyjnego – odbył staż w armii francuskiej. Współorganizował w 1970 r. Studium Nauk Polityczno-Wojskowych, które zostało uruchomione przy Brygadowym Kole Młodych „Pogoń”. Oprócz sprawowania obowiązków szefa wyszkolenia „Pogoni”, prowadził biuro weryfikacyjne żołnierzy Armii Krajowej. Awansował na wyższe stopnie oficerskie; 15 sierpnia 1965 r. z nominacji naczelnego wodza gen. Władysława Andersa do stopnia podpułkownika. Mieszka w Londynie. 15 sierpnia 2006 r. odznaczony Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. Ożeniony z rzeszowianką Adą Hoffman (żołnierzem AK). Mieli jedną córkę.

.....  
Janusz Kujawa

## W strugach „Burzy” na ulicach Tyczyna

– rozmowa z kapitanem Mieczysławem Skotnickim, autorem książki „Bitwa o Tyczyn”:

– W ostatnich dniach lipca 1944 roku, zanim rozbrzmiały pierwsze strzały w powstańczej Warszawie i zanim żołnierze Podokręgu Rzeszów Armii Krajowej przystąpili do walki o wyzwolenie Rzeszowa, rozegrała się krwawa bitwa o Tyczyn. Po kilku latach oczekiwań i prowadzonych w konspiracji przygotowań chłop-

cy z placówki AK „Topola” z białoczerwonymi opaskami na rękawach z entuzjazmem przystąpili do jawnej już walki z oddziałami niemieckimi. Między 25 a 27 lipca oddało życie jedenastu żołnierzy AK i szesnastu cywilów. Straty przeciwnika były także znaczne, zdobyto 18 samochodów ciężarowych, 2 pojazdy gąsienicowe, sa-

mochody osobowe oraz ogromne ilości różnego rodzaju broni. Wy-sadzono mosty na Strugu, dezor-ganizując wycofywanie się jedno-stek niemieckich. Najważniejsze było jednak zajęcie miasta, które aż do przyścia oddziałów sowie-ckich pozostało w polskich rękach. O tamtych szczególnych dniach rozmawiamy z ich bezpośrednim uczestnikiem – kpt. Mieczysławem Skotnickim.

Zanim przejdziemy do oma-wiania samej akcji „Burza”, proszę o kilka słów na temat pańskich wo-jennych losów:

**Mieczysław Skotnicki (M.S.)** – Jeszcze przed wojną chodziłem do I Gimnazjum w Rzeszowie, a póź-niej we Lwowie. Pierwszy rok prawa tuż przed wybuchem wojny ukończy-łem w Warszawie. Po zdaniu matu-ry w 1938 roku stanąłem do poboru, ale jako że brakowało mi jeszcze nieco do 18 lat, więc nie zostałem wzięty. Piętnastego września 1939 r. miałem się zgłosić w Komendzie Uzupełnień, ale to już z oczywistych względów nie było możliwe. Moi koledzy poszli do wojska, trochę im zazdrościłem, więc włączałem się we wszystkie zna-ne mi inicjatywy konspiracyjne. Tych organizacji było chyba trzy, później zawiązała się ZWZ-AK i to już była sprawa poważna. Formalnie zostałem zaprzysiężony w AK w 1942 roku. Przeszedłem kurs konspiracyjnej szkoły podchorążych – drugi ze zor-ganizowanych trzech – otrzymując stopień kaprała podchorążego. Potem byłem u boku komendanta placów-ki ppor. Jana Rabczaka („Dąb”). On to tak sprytnie urządził, że pełniąc funkcję sekretarza gminy, miał pod ręką jako pracowników mnie oraz jeszcze jednego starszego pana, który utrzymywał kontakty ze wsiami. Tak tam urzędowaliśmy w trzech na poły legalnie i równocześnie w konspira-cji. Początkowo miałem funkcję przy-bocznego i prowadziłem działalność głównie wywiadowczą. Dopiero od 1 czerwca 1944 r. nastąpiło przygotowa-nie zbrojne przed akcją „Burza”.



Mieczysław Skotnicki

Wówczas każda placówka otrzymała status batalionu, komendantowi zaś przysługiwało 2 adiutantów: pierw-szy do spraw operacyjnych i drugi do spraw organizacyjnych, którym zostałem ja. Pierwszym mianowa-no kpr. Mieczysława Huchlę („Wil-bik”), mojego kolegę z rzeszowskie-go gimnazjum.

– **Doszliśmy, więc do akcji „Bu-rza”. Jak przebiegała ona w Tyczy-nie i okolicy?**

**M.S.** – Po 1 czerwca przygotowa-nia szły na całego. Co innego jednak plany, a co innego ich faktyczne wy-konanie. Były tutaj sprawy warte po-chwały, a były i takie, nad którymi można tylko załamać ręce. W planach bitwy o Tyczyn miały brać udział 3 kompanie. Faktycznie większy udział w walkach miała tylko jedna – her-manowska pod dowództwem por. M. Przytockiego („Grab”). Kompania II por. W. Czetwertyńskiego („Kmita”) oraz III por. Józefa Borowca („Góra”) wzięły udział tylko w ograniczonym zakresie. Stało się to za przyczyną nieporozumień związanych ze zmia-ną początkowego rozkazu rozpoczę-cia walki o godz. 18, na termin o go-dzinę wcześniejszy. Wysyłani gońcy nie odnaleźli oddziałów, a dowódca „Dąb” nie podał swojego miejsca po-stoju, co dodatkowo pogłębiło dez-orientację. Kompania, którą dowodził najbardziej fachowy oficer „Kmita”, została tam, gdzie była. Miał rozkaz by uderzyć o 18. Słyszając odgłosy walk, wysłał oddział, który miał utorować

drogę. Doszło do potyczki z Niem-cami przy domu doktora Obary. Ma-jąc dwóch ciężko rannych, wycofali się i zameldowali o sytuacji. Niem-cy akurat w tym czasie dostali posił-ki. „Kmita”, który miał najbardziej „bitną” grupę, nie mając rozkazów, do końca nie brał udziału w ak-cji. Ja sam byłem wówczas bez bro-ni. O godz. 15.30 „Dąb” odprawił mnie z Hermanowej, żebym spraw-dził placówki, czy są poinformo-wane o terminie natarcia. Wkrót-ce spotkałem znajomego AK-owca z Budziwoja. Przekazałem mu mel-dunek i wróciłem do „Dęba”. Wów-czas on polecił mi: „Niech pan idzie jeszcze zjeść obiad i przed 18 niech się pan zgłosi”.

– **Jakie nastroje panowały wśród was w tym szczególnym momen-cie rozpoczęcia walki?**

**M.S.** – Ludzie, rzecz jasna, rwali się do działania. Gdy trwało już pogoto-wie, 24 lipca dołączyła do nas gru-pa z Kielnarowej. Aby zdobyć broń, zaatakowali samochód niemieckie-go lotnictwa z 2 lub 3 żołnierzami w środku. Rozpoczęła się bezładna strzelanina, w trakcie której Niem-cy uciekli na piechotę. Samochód był nieuszkodzony, więc wsiedli do nie-go nasi kierowcy i odjechali drogą na klasztor. W całej akcji dyspono-waliśmy tylko ok. 180–200 sztukami broni, głównie zdobycznej. To było powodem, że w akcji wzięło udział od 200 ludzi. Tak się szczęśliwie złożyło, że przedwojenna broń pol-ska była dostosowana do takiej samej amunicji jak niemiecka. To w ogrom-nym stopniu ułatwiało zadanie. Broń ciężka była tylko zdobyczna. W Ty-czynie dysponowała nią jedynie ko-mórka „Wedety”. Podlegała ona bez-pośrednio dowództwu w Rzeszowie i nie brała udziału w walkach. Z po-siadanej broni naprawdę przydatne były tylko karabiny, co do których można było być pewnym, że trafią tam, gdzie się celowało. Były oczy-wiście jeszcze granaty i broń krótka. Mimo tak szczupłych sił, postawione zadanie zostało wykonane. Na pew-



no mogło być wykonane lepiej, ale te oceny zostawmy historykom. Błędem było z pewnością nieprzecięcie sieci telefonicznej. Wzięto się to stąd, że naczelnik poczty, który był naszym człowiekiem, przed rozpoczęciem walk zniszczył centralę telefoniczną. Nie przypuszczał, że Niemcy mają jeszcze własną odrębną linię. Za jej pomocą udało im się szybko wezwać posiłki z Rzeszowa.

– **A jak reagowała ludność cywilna?**

**M.S.** – Trudno dać jednoznaczną odpowiedź, bo ludność to bardzo szerokie pojęcie i z pewnością występowało tu duże zróżnicowanie. Na początku zdecydowana większość mieszkańców była jak najbardziej „za”. Później zaczął dominować strach, gdy nadjechały posiłki „własowców” – trzy wozy z około 60 ludźmi. Krwawa pacyfikacja, gdy zabijali wszystkich napotkanych po drodze ludzi – np. doktora Władysława Mackiewicza, (mimo że posiadał ze sobą dokument uprawniający go do poruszania się po godzinie policyjnej), nie oszczędzili nawet dwóch starsuszek z przytułku. Do tego dodać trzeba ośmiu żołnierzy, którzy polegli w walce (trzech z Hermanowej, trzech ze Straszdyła i dwóch z Tyczyna). Te straty poważnie zaciemniały radość ze zwycięstwa. Wolność nie trwała zresztą zbyt długo. Pamiętam zdjęcie, które w tamtych dniach doktor weterynarii zrobił przed ratuszem komendantowi Rabczakowi i grupie żołnierzy AK w mundurach. Niestety, gdzieś ono zaginęło i dziś nie sposób je odnaleźć.

Nastrój zwycięstwa zgasiło też zbyt szybkie wejście Sowietów. Bardzo ważny, a niedoceniany był strategiczny wymiar tej bitwy. Trzeba sobie uzmysłwić, czym ona była dla działań wojennych Niemców. Sowietci szli na zachód ławą, na przełaj, nie do końca się orientując, gdzie są. Niemcy musieli zaś uważać, aby ich kolumny motorowe mogły się bezpiecznie wycofywać. Tu czekała ich niespodzianka w postaci zniszczonych przez nas mostów.

Ten aspekt zadecydował, że musieli wybrać inną – omijającą Tyczyn – trasę. Prawdopodobnie doszedł do tego jeszcze inny wzgląd. W mieście stacjonowała wcześniej kompania niemieckiego wojska, wprowadzie nie liniowa, lecz tzw. marszowa i bez broni ciężkiej, ale jednak były to znaczne siły regularnego wojska. Nagły wymarsz z miasta – nocą po 7 godzinach walki oddziałów Wehrmachtu i wraz z nimi własowców – trzeba było jakoś wytłumaczyć przełożonym. Z pewnością wyolbrzymiono w raportach siły akowskie w Tyczynie oraz siły kompanii „Kmity” stojącej od Mokrej Strony i kompanii „Góry”, zbliżającej się od Budziwoja. Zapewne dlatego też Niemcy nie podjęli żadnej akcji represyjnej, nie wiedząc, z kim będą mieli tu do czynienia.

– **Wkrótce po sowieckich oddziałach liniowych pojawiło się zapewne NKWD?**

**M.S.** – Szczerze mówiąc, to ich aktywność w Tyczynie nie była duża. Zapewne gdzie indziej mieli ważniejsze „zadania”. Zjawili się za to wkrótce w leśniczówce w Hermanowej, gdzie było stanowisko dowódcy „Dęba”. Idąc od Tyczyna z „Hełmem” (Józefem Witkiem) nieoczekiwanie spotkaliśmy w lesie wracającego z leśniczówki ks. Borowca. Na drugi dzień konny oddział NKWD otoczył punkt dowodzenia. Aresztowano czterech ludzi i leśniczego z zamiarem zesłania ich na Sybir. Dołączono ich do kolumny jeńców niemieckich. Podążyli za nimi ludzie z naszego oddziału i w okolicach Przemyśla pomogli w ucieczce z transportu.

Wspaniałą postacią, o której muszę wspomnieć, był nasz kapelan ksiądz Ludwik Niemczycki, towarzyszący walczącym żołnierzom także w czasie tych „burzowych” walk. Nie był on wyjątkiem, bo większość księży współpracowała z AK, np. w Chmielniku, Budziwoju, a w klasztorze w Borku nasza grupa szkoły podchorążych przeprowadzała ćwiczenia.

Wracając do żołnierzy sowieckich to trzeba powiedzieć, że ci frontowi

zachowywali się bardzo grzecznie. Salutowali nam, pytali o Kościuszkę, chyba nie odróżniając naszych żołnierzy od tzw. „kościuszkowców”. Oni chodzili z bronią, my tak samo i nikt o nic nie pytał. Stacjonujące oddziały rozlokowały się po domach. Prości żołnierze nawet najmowali się do roboty. Obierali kapustę, pomagali zwozić ziemniaki. Wyżywienie mieli własne – głównie amerykańskie konserwy. W Tyczynie – co bardzo ważne – nie dochodziło do gwałtów na kobietach, jak często bywało gdzie indziej. Dopiero gdy pojawili się żołnierze w sinoczerwonych czapkach żarty się skończyły. NKWD interesowała każda rzecz. Sam o mało nie pojechałem na wschód. W czasie przeglądania dokumentów znaleźli włożony tam nieużywany znaczek pocztowy, na którym była podobizna Hitlera. Z opresji wybawił mnie dopiero jakiś sowiecki oficer, który mówiąc „niczewo” wytłumaczył, że to tylko okupacyjne pocztowe znaczki i nakazał mnie zwolnić. Zdarzało się jednak, że znalezienie podczas rewizji egzemplarza podziemnej gazetki kończyło się wywózką na Sybir. Taki los spotkał mojego kolegę Edwarda Wasylczuka. Na koniec jeszcze jeden mało znany fakt. Gdy wojska sowieckie zbliżały się do Tyczyna, ich patrol, złożony z dwóch żołnierzy z radiostacją, w Przylasku natknął się na oddział AK. Poinformowali oni Sowietów, kim są oraz przekazali informację o rozebraniu mostów i kierunkach wycofywania się oddziałów niemieckich. Wiadomości te natychmiast wysłano drogą radiową do dowództwa sowieckiego. Bardzo prawdopodobne, że miało to wpływ na kierunek sowieckiego uderzenia na Rzeszów.

– **Od godzin nocnych 29 lipca Tyczyn był w rękach polskich. Czy zdążono powołać jakąś władzę, zanim pojawili się nasi „wyzwoliciele”?**

**M.S.** – Przez kilka dni działała milicja powołana z naszych chłopców. Gdy swoją działalność rozpoczęło

NKWD, szybko rozwiązano tę formację. Komendant Rabczak został aresztowany w połowie września i w miesiąc później skazany na karę śmierci (cudem uratował się, uciekając tuż przed egzekucją). „Grab” z Hermanowej wyjechał, pozostał tylko „Kmita”. Razem z nim jeździłem na odprawę do Błazowej do Józefa Maciołka „Żurawia”. W Armii Krajowej byłem aż do jej rozwiązania.

– Po wojnie wyjechał pan do Krakowa, by wznowić przerwane studia?

M.S. – Tak. Jeszcze w międzyczasie przeprowadziliśmy wspólnie z księdzem Leonem Trojną kurs gimnazjalny dla klasy pierwszej. Efekt był chyba niezły, bo 15 z 17 osób biorących w nim udział zdało egzamin do klasy drugiej. Odbył on się w I Gimnazjum w Rzeszowie. Ja byłem już wówczas na studiach w Krakowie. Podobnie jak wielu moich kolegów wkrótce ponownie zacząłem konspirację w organizacji „Wolność i Niezawisłość”. W styczniu 1947 r. wziąłem ślub, a już w październiku zostałem aresztowany.

– Później było śledztwo, proces, wyrok i długie 7 lat więziennej ge-

henny. To już jednak inna historia, a może ciąg dalszy Pańskiej „Przygody z Ojczyzną”. Taki przecież tytuł nadał Pan jednemu ze swoich

tomików poetyckich. Dziękując za wywiad, życzymy wiele zdrowia i długich lat życia.

### Jeszcze nie

*Jeszcze nie nasza kolej. Ta chwila czekania  
Więcej przygnień nas może niż wszystko najgorsze!  
Po diabła tu stać każą? Słońce już się skłania,  
Za pancerz czołgów pewnie już się skryli Bosze.  
Tam jakaś polna struga, w linii widać rysę  
Na pół dłoni od tego zwałonego domu.  
Przestańże pan, do kroćset, wymachiwać Visem,  
Jeszcze w zdenerwowaniu walniesz pan w łeb komu.  
Proszę słuchać! Tą linią uderzy nasz baon.  
Pas działania od strugi po to pole hreczki.  
Czekać jeszcze! Ma przybyć jeszcze jeden działon,  
Wsparcie artyleryjskie pójdzie wzdłuż tej rzeczki.*

\* \* \*

*Zmrużone dziwnie oczy, hełmy nasadzone...  
No podaj rękę, bracie, jeśli w razie czego...  
To wiesz... Ktoś szepcze cicho „Pod Twoją obronę!”.  
–Więc przy panu zastępstwo! Słyszycie kolego?  
Jeszcze moment. Już! Ziemia łoskotem działa dyszy!  
Rzut oka na zegarek... Huk baterii wsparcia!  
Po czołach, po obliczach szarych towarzyszy  
Wionęła ostra smuga! Rozkaz!... Do – natarcia!!!*

1942

Fragment wiersza M. Skotnickiego  
z tomu „Pamiętnik wojenny”

Ewa Rabczak

## Pamięć ciągle żywa – prześladowania rzeszowian w czasie II wojny światowej

Rzeszów podczas II wojny światowej poniósł duże straty ludnościowe i ekonomiczne, które zahamowały jego rozwój gospodarczy i kulturalny na wiele lat. Miasto było dwukrotnie zniszczone, będąc terenem działań wojennych we wrześniu 1939 roku i w lipcu 1944 roku. Jednak najbardziej brzemenna w skutkach była niemiecka polityka eksterminacji ludnościowej, pośredniego wyniszczenia i maksymalnej eksploatacji gospodarczej. Była ona wcielana w życie w atmosferze terroru poprzez sze-

roko rozbudowany aparat okupacyjny. Już od pierwszych dni wojny ludność Rzeszowa, jak również innych miast Generalnego Gubernatorstwa podlegała decyzjom administracji niemieckiej, a ta wymagała wobec siebie bezwzględnego posłuszeństwa. Wszelkie naruszenie ustalanego przez władzę hitlerowską porządku groziło surową karą, a często kończyło się śmiercią. Wszechogarniający terror przejawiał się w przeprowadzaniu egzekucji odwetowych za targnięcie się na życie Niemców, zabijaniu za: udział w ru-

chu oporu, za dopuszczanie się sabotażu, za niepodjęcie pracy i uchylanie się od deportacji na roboty do Rzeszy, za pomoc udzielaną Żydom i zbiegłym jeńcom oraz za wiele innych czynów.

Ważne narzędzie w walce z narodem polskim stanowiło więzienie na zamku w Rzeszowie, przez które przeszło co najmniej 1100 więźniów politycznych. Już na początku okupacji zapewniono go miejscową inteligencją.





Tablica w budynku Urzędu Wojewódzkiego w Rzeszowie.

Warstwa ta była elitą kulturalną i odgrywała dużą rolę w narodzie, toteż przede wszystkim była poddawana prześladowaniom. Surowe represje spotykały także młodzież rzeszowską. Wielkim wstrząsem dla mieszkańców było zatrzymanie przez gestapo w dziewiątym miesiącu okupacji grupy 40 uczniów rzeszowskich, a następnie skierowanie ich do obozu w Oświęcimiu. Aresztowania trwały przez całą okupację i dotyczyły różnych grup społecznych. Miejscami straceń były: ogród bernardyński, dziedziniec rzeszowskiego zamku, doły przy cegielni Gnata na Baranówce, a od 1942 roku lasy pod Głogowem.

Szczególnie tragiczne były wydarzenia związane z eksterminacją Żydów rzeszowskich. Martyrologia ludności żydowskiej została opisana szeroko w wielu opracowaniach. Podobnie jak w innych miastach Generalnego Gubernatorstwa, tak również w Rzeszowie, realizowano odgórną politykę władz niemieckich, która doprowadziła do odebrania Żydom majątku prywatnego, pozbawienia podstaw egzystencji, a następnie ludobójstwa dokonanego na tym narodzie. Ludność tę zamknięto na początku 1942 roku w getcie, gdzie

żyła w nieludzkich warunkach. Następnie w wyniku decyzji o „ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej”, poczynając od lipca 1942 roku przeprowadzono w brutalny sposób akcje wysiedleńcze. Żydów wywożono do obozów pracy w Bełżcu, Pełkiniach koło Jarosławia, Pustkowie, Szebniach, Hucie Komorowskiej, Płaszowie i Oświęcimiu, a także masowo rozstrzeliwano w lasach głogowskich. W rezultacie działań hitlerowskich w styczniu 1944 roku pozostało w getcie jedynie 50 osób. Ostatecznie spośród Żydów rzeszowskich okupację przeżyło 700–800 osób, w tym około 100 osób uratowało życie. Ukrywało się lub doczekało końca wojny w różnych obozach. Spośród inteligencji tej narodowości hitlerowcy zamordowali około 40 adwokatów, przeszło 20 lekarzy, kilku profesorów gimnazjalnych, około 20 rabinów. Rozmiar zbrodni, której dokonali Niemcy był olbrzymi, zważywszy na fakt, że liczba ludności żydowskiej w mieście w 1938 roku wynosiła ponad 13 tysięcy (około 30% ogółu mieszkańców). Należy jednak zauważyć, że już na początku okupacji w wyniku migracji liczba ta uległa znacznemu zmniejszeniu. Po wojnie nie udało się odbudować społeczności żydowskiej w Rzeszowie. Po czterech wiekach jej zamieszkiwania w mieście zupełnie przestała istnieć.

Zagłada Żydów spowodowała, że procentowy ubytek ludności Rzeszowa wskutek drugiej wojny światowej był wyższy niż przeciętny w Polsce. Według danych szacunkowych, straty osobowe miasta spowodowane działaniami wojennymi, tj. – w trakcie bombardowania we wrześniu 1939 roku oraz w wyniku walk o oswobodzenie w lipcu 1944 roku – wyniosły 440 osób. W więzieniach i obozach poniosło śmierć 290 osób, na robotach przymusowych 220, wskutek ran zaś zmarło 180. W masowych egzekucjach na placach i ulicach, w lasach głogowskich, w getcie i obozach zagładę utraciło życie 11 267 osób. Przyjmuje się, choć danych tych nie na-

leży traktować w pełni obiektywnie, że miasto utraciło 12 397 mieszkańców, tj. około 35% ogólnego zaludnienia miasta w przededniu II wojny światowej.

Trudne do określenia szkody podobnie jak w całej Generalnej Gubernii przyniosła miastu i jego mieszkańcom polityka traktowania tutejszej ludności przez okupanta, jako źródła taniej siły roboczej. Realizacja tego zamierzenia miała przyczynić się do powiększenia dobrobytu gospodarki niemieckiej. Od początku okupacji starano się wywieźć jak najwięcej ludzi na roboty do Rzeszy, ale także wykorzystać pracę Polaków i Żydów na miejscu.

Rekrutacja na podstawie skierowań administracyjnych, a następnie imiennych wezwań do stawienia się na wyjazd do Niemiec nie dała rezultatu. Szybko zastosowano system przymusu. Żandarmeria i inne oddziały policyjne przeprowadzały obławę na ulicach, na placach w czasie targu, pod kościołami itd. Złapane osoby, które nie posiadały zaświadczeń o wykonywaniu pracy, były wysyłane do Rzeszy bez względu na sytuację rodzinną, czy też stan zdrowia.

**Deportacją do Niemiec objęto także uczniów. Policja otaczała budynki szkół i zabierała nieprzygotowaną do drogi młodzież do punktów zbiorczych, po czym wysyłała do Niemiec.**

Takie wydarzenie miało miejsce początkiem maja 1943 roku m.in. w szkole handlowej w Rzeszowie. W wyniku ustaleń bilansu strat przez Inspektorat Szkód Wojennych, z Rzeszowa zostało wywiezionych 9156 osób, w tym 437 żywicieli rodzin. Skutki były następujące: nędzne wynagrodzenie za wieloletnią pracę na rzecz Rzeszy, pobyt przeważnie w złych warunkach, choroby i zgony, tęsknota za bliskimi, udręki, których nie szczędzili polskim robotnikom pracodawcy.

Niemieckie władze Rzeszowa z całą bezwzględnością wymuszały na lud-



Tablica na budynku Biblioteki Wojewódzkiej.

ności cywilnej obowiązek i przymus pracy fizycznej. Źródłem taniej i operatywnej siły roboczej w Rzeszowie były dyspozycyjne oddziały złożone z młodych ludzi, przymuszonych do pracy w ramach organizacji Polska Służba Budowlana. Junacy budowali potężne schrony, hangary na samoloty, remontowali koszary niemieckie i szpitale wojskowe, pracowali przy konserwacji torów, wyładowywaniu i załadowywaniu wagonów, przy obsłudze pasów startowych na lotnisku w Jasionce. Wykorzystywano ich także do kopania dołów i grzebania rozstrzelanych Żydów latem 1942 roku w Borze k. Głogowa oraz w czasie likwidacji getta w Rzeszowie, co było bezprawne w świetle prawa międzynarodowego. Wskutek ciężkiej pracy, głodowych porcji żywnościowych i trudnych warunków bytowania junacy często zapadali na różne choroby.

Dla potrzeb niemieckiej gospodarki robotnicy polscy pracowali w Polskich Zakładach Lotniczych w Rzeszowie. W związku ze stale rosnącym zapotrzebowaniem na potrzeby wojenne, wzrastała liczba zatrudnionych pracowników, dochodząc pod koniec okupacji do 4–5

tysięcy. Pozbawieni kierowniczych stanowisk i urlopów, źle traktowani przez władze fabryki robotnicy pracowali po 12 godzin, zarówno w dni powszednie, jak też w święta, otrzymując przy tym niskie, wprost głodowe wynagrodzenie oraz niewystarczające przydziały żywności. W wyniku pracy ponad siły w bardzo złych warunkach, pod koniec okupacji, 70% załogi było chorych na płucą. Darmową siłę roboczą stanowili zatrudnieni w zakładzie w latach 1942–1944 Żydzi, dla których utworzono w pobliżu fabryki obóz, gdzie mieszkali w warunkach urągających ludzkiej godności.

Wysokiej wydajności i lojalności domagały się władze niemieckie od Polaków pracujących w służbie publicznej, których sytuacja materialna w okupowanym mieście była również bardzo trudna.

Szczególny nacisk położono na wykorzystanie pracy fizycznej ludności żydowskiej. Żydzi, którzy zostali zwolnieni z dotychczasowej pracy, a była to inteligencja: nauczyciele, adwokaci, pracownicy administracji, inżynierowie, zatrudnieni byli do robót publicznych przy utrzymywaniu czystości w mieście i koszarach oraz przy załadunku i transporcie. Za uchylanie się od pracy Niemcy wymierzali kary chłosty. Dla gospodarki wojennej pracowali rzemieślnicy żydowscy, dla których rozbudowano warsztaty w getcie żydowskim. Aby pozyskać ludzi do pracy, Niemcy urządzali łapanek. Przeprowadzono je jeszcze w czerwcu 1944 roku, kiedy to Polacy potrzebni byli do budowania bunkrów betonowych wzdłuż drogi do Strzyżowa i Dynowa. Do licznych strat, jakie poniósł Rzeszów w czasie okupacji należy zaliczyć i te, które były spowodowane wyzyskiem pracy ludności na rzecz Niemiec hitlerowskich.

Ogromne szkody wyrządzone zostały przez Niemcy hitlerowskie rzeszowskiej oświacie i kulturze. Dyskryminacja szkolnictwa przejawiała się w zamknięciu szkół średnich, obni-

żeniu poziomu nauczania oraz pozbawieniu go narodowego oblicza. Władze niemieckie przeprowadzały akcje niszczenia książek oraz akcje przeciw środowisku nauczycielskiemu. Ze szkół usunięto godła polskie, a z programów nauczania wyeliminowano historię, literaturę polską, geografę i gimnastykę. Częste przerwy w nauce z powodu braku opału, zajmowania budynków szkół przez wojsko i policję oraz ogłaszanych epidemii tyfusu i czerwotki przyczyniły się do spadku poziomu wiedzy dzieci i młodzieży. Ograniczono liczbę nauczycieli, a pozostałych przenoszono z dotychczasowych miejsc pracy do innych miejscowości w celu zerwania ich kontaktu ze środowiskiem.

O tym, jak bardzo zaniedbane było szkolnictwo rzeszowskie, świadczą minimalne kwoty przeznaczane przez władze niemieckie na oświatę. W marcu 1944 roku stanowiły one 1% wszystkich wydatków budżetu miasta.

Zniszczenie nauki i oświaty odciąć miało dopływ nowych sił zdolnych do utrzymania i rozwijania kultury polskiej, a tym samym świadomości narodowej. Wyeliminowano imprezy przepełnione duchem polskości. Natomiast dopuszczono możliwość organizowania rozrywek, ale na niskim, wręcz prymitywnym poziomie, a także przedstawianie widowisk, które nierzadko naruszały normy etyczne. Chcąc zlikwidować kulturę, zamknięto w Rzeszowie polskie i żydowskie pisma, biblioteki, czytelnie oraz kluby. W kinie, stanowiącym jedyną rozrywkę w mieście, wyświetlano filmy o charakterze propagandowym i farsy. W ramach walki z polskością konfiskowano książki z literatury, historii Polski, polskie flagi i emblematy oraz portrety wybitnych Polaków. Bardzo dużą stratą dla rzeszowskiej kultury było zniszczenie lub wywiezienie do Rzeszy zabytkowych dzieł sztuki i archiwaliów. Z budynków publicznych zdjęto szyldy polskich instytucji z godłem Polski oraz orły wkomponowane



lub umieszczone w budynkach. Aby nadać miastu niemiecki charakter zmieniono nazwy ulic, a także nazwę Rzeszowa na Reichshof. W mieście zostały utworzone: dzielnica niemiecka, niemieckie sklepy wraz z księgarnią oraz niemiecka szkoła powszechna. Usuwanie przez okupanta nazw polskich, niszczenie pomników i tablic pamiątkowych, będących symbolami narodowymi, było bardzo bolesne dla rzeszowian, gdyż miały one szczególne znaczenie w tym tak trudnym czasie okupacji.

Niemiecka polityka zwalczania ludności polskiej spowodowała, że znalazła się ona w wyjątkowo trudnych warunkach bytowych. Zakładany przez hitlerowców plan obniżenia stopy życiowej Polaków został wykonany poprzez ich dyskryminację w dziedzinie pracy, płacy i warunków żywienia. Szczególnie trudna była sytuacja żywnościowa. Już we wrześniu 1939 roku wystąpiła w mieście drożyzna towarów oraz problemy z ich nabyciem. Powodem tego był masowy wykup artykułów spożywczych przez żołnierzy niemieckich.

Na początku 1940 roku władze okupacyjne wprowadziły w Rzeszowie aprowizację kartkową. Przydziały żywności były niezwykle małe, wręcz głodowe.

Podobnie przedstawiała się sytuacja w zaopatrzeniu w mydło, odzież i obuwie. Niskie zarobki wystarczały jedynie na zaspokojenie najbardziej elementarnych potrzeb osobistych i rodzinnych, np. opłatę za czynsz, światło, węgiel. Istniejący w mieście nielegalny handel, tzw. czarny rynek, był w praktyce niedostępny dla większości społeczeństwa. Podczas okupacji warunki życia były najcięższe zimą ze względu na trudności w zdobywaniu opału. „Aby ogrzać mieszkanie lub ugotować łyżkę stawy rozbierano szopy, wyrzynano deski z podłogi, a nawet wyrzynano częściowo więzania belkowe dachów...”.

Niezwykle trudne warunki życia wpłynęły na pogorszenie się stanu

zdrowotności społeczeństwa. Z powodu niedożywienia, wycieńczenia i ograniczonej możliwości korzystania z pomocy lekarskiej, w Generalnym Gubernatorstwie wzrosła zachorowalność na dur płamisty i gruźlicę. Przyczyniło się to do ujemnego przyrostu naturalnego. O wzmożeniu chorób pisał w swych zapiskach okupacyjnych F. Kotuła: „W każdym domu szpital. Lekarstw nie ma, albo potwornie drogie. Śmiertelność dzieci niespotykana”.

Zwykłe codzienne życie okupacyjne, ciężkie dla wszystkich warstw społeczeństwa polskiego, było szczególnie trudne dla inteligencji. Likwidacja polskich urzędów, instytucji, szkolnictwa, zakaz wszelkiej twórczości kulturalnej, spowodowały, że znalazła się ona w wyjątkowo trudnej sytuacji materialnej. Przedstawiciele tej warstwy środki na utrzymanie zdobywali w rozmaity sposób. Pozostający bez pracy nauczyciele szkoły handlowej w Rzeszowie żyli w pierwszym roku wojny z wyprzedaży odzieży. Szczególnie duże straty osobowe wśród inteligencji i ciężkie położenie materialne w czasie okupacji w znacznym stopniu wyniszczyły ją biologicznie.

Nienormalne warunki życia sprzyjały powstawaniu niekorzystnych zmian w postawach etyczno-moralnych społeczeństwa. W Rzeszowie i okolicach dochodziło do zabójstw, krwawych kłótni, zdarzały się donosy nawet na bliskich do gestapo.

Szerzyło się pijaństwo, zwłaszcza na wsi, gdyż Niemcy płacili tam za to-

war wódką. Podczas kiedy większości społeczeństwa dokuczała bieda, paskarzom, kombinatorom i handlarzom utrzymującym bez skrupułów kontakty z Niemcami żyło się bogato.

Skutki II wojny światowej miały dalekosieźny wpływ na funkcjonowanie miasta i poziom życia jego mieszkańców. Eksterminacja ludności, zniszczenie dorobku materialnego i kulturalnego, przywłaszczenie przez okupanta własności społecznej i prywatnej oraz eksploatacja gospodarcza spowodowały zahamowanie rozwoju Rzeszowa na wiele lat. Zmniejszenie i odebranie dochodu społecznego zredukowało poważnie możliwości inwestycyjne, utrudniając tym samym odbudowę miasta. Trzeba było ponieść olbrzymie koszty finansowe i włożyć mnóstwo wysiłku ludzkiego, aby rozwiązać wiele problemów w gospodarce mieszkaniowej, przemyśle, komunikacji i łączności. Uzdrawienia wymagały znajdujące się w katastrofalnej sytuacji oświata, kultura i ochrona zdrowia. Wskutek niemieckiej polityki wyniszczenia inteligencji i dyskryminacji szkolnictwa polskiego poważny problem po wojnie stanowił brak kadr kierowniczych, odczuwalny szczególnie w administracji i przemyśle. Niezwykle trudne zadanie, dzieło odbudowy miasta, spoczęło na przyszłej władzy miejskiej oraz na barki wyczerpanego i umęczonego społeczeństwa rzeszowskiego, które co dopiero doznało tragicznych wydarzeń okupacji.

Marek Soja

## Strażniczka pamięci o Katyniu

Stanisława Sojowa urodziła się 2 kwietnia 1923 r. w Sokołowie Małopolskim jako córka Ignacego Deca i Julii z domu Głodzik. Oboje rodzice byli nauczycielami. Ojciec, żołnierz Legionów, był kierownikiem miejscowej

szkoły powszechnej. Po przeprowadzce do Rzeszowa (z powodu objęcia przez ojca kierownictwa szkoły powszechnej) ukończyła w 1935 r. Szkołę Powszechną im. Seweryny Duchinińskiej. W latach 1935–1939 uczęszczała

do Prywatnego Gimnazjum Żeńskiego w Rzeszowie.

Była aktywną harcerką. W czasie wojny, skierowana przez niemiecki Arbeitsamt, pracowała w austriackiej firmie budowlanej Ritman, zatrudniającej robotników przy budowie lotniska w Jasionce.

Bardzo przeżyła wiadomość o pobycie ojca w obozie na terenie ZSRR w Kozielsku, a następnie – w 1943 r. – o jego śmierci.

Zaraz po wojnie dokończyła przerwana naukę, uzyskując w Prywatnym Liceum Żeńskim w Rzeszowie świadectwo dojrzałości. W 1945 r. ukończyła również Wstępny Kurs Pedagogiczny. W listopadzie 1945 r. podjęła pracę jako nauczycielka w szkole podstawowej w Nowej Wsi koło Złotoryi. W roku 1946 zdała eksternistycznie we Wrocławiu – drugi już w jej życiu – egzamin maturalny w zakresie liceum pedagogicznego. W październiku 1946 r. rozpoczęła studia dzienne na wydziale humanistycznym Uniwersytetu Wrocławskiego w zakresie filologii polskiej, pracując równocześnie w Wieczorowej Państwowej Szkole Powszechnej dla Dorosłych nr 2 we Wrocławiu. Studia ukończyła w 1951 r., uzyskując tytuł magistra filologii.

Po powrocie do Rzeszowa pracowała w Państwowym Liceum Pedagogicznym i Studium Nauczycielskim, a od września 1962 r. do sierpnia 1978 r. była nauczycielką w I LO im. S. Konarskiego (przez 4 lata także w II LO), pełniąc też obowiązki nauczycielki Szkoły Ćwiczeń Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie. Była żoną Zenona Soi, zmarłego w 2004 r., żołnierza AK, absolwenta pierwszego rocznika Studium Wychowania Fizycznego przy Akademii Medycznej we Wrocławiu (późniejszej Akademii Wychowania Fizycznego). Z małżeństwa tego zrodziło się troje dzieci (syn i córka wybraли zawód nauczyciela), druga córka jest stomatologiem.

Wiele czasu poświęcała pracy społecznej w Zarządzie Towarzystwa Li-



Stanisława Sojowa

terackiego im. A. Mickiewicza i Komitecie Olimpiady Literatury i Języka Polskiego. Od 1990 r. rozpoczęła swoją, jakże czynną, pracę jako przewodnicząca Rzeszowskiego Koła Rodzin Katyńskich, działającego w ramach Stowarzyszenia Rodzin Ofiar Katyń Polski Południowej z siedzibą w Krakowie. Zaczęła w Rzeszowie budzić świadomość społeczeństwa i przypominać o tragicznym losie jeńców niewypowiedzianej wojny. Rozpoczęła też zabiegi o upamiętnienie ofiar katyńskiej tragedii. Z jej inspiracji utworzono wiele miejsc pamięci takich jak: tablica katyńska w Kościele Chrystusa Króla w Rzeszowie, tablica katyńskiej pamięci w kościele garnizonowym w Rzeszowie, tablica pamięci na gmachu Wojewódzkiej Komendy Policji w Rzeszowie, symboliczny Grób Katyński z tablicą i krzyżem katyńskim na cmentarzu Pobitno, tablice pamięci na cmentarzach w Sokołowie Młp. i Żołyni, tablica w budynku III LO im. K. C. Norwida w Rzeszowie, pamiątkowe indywidualne tabliczki pamięci na ścianie pamięci w kościele garnizonowym w Krakowie.

Kierowane przez Stanisławę Sojową Stowarzyszenie Rzeszowskich Rodzin Katyńskich zorganizowało sześć dużych wystaw o tematyce katyńskiej, z których kilka miało cha-

rakter objazdowy, dzięki czemu mogli je zwiedzić mieszkańcy licznych miast i miasteczek województwa podkarpackiego.

Stanisława Sojowa poświęciła się pracy popularyzatorskiej i kronikarskiej, publikując dziesiątki artykułów w prasie miejscowej („Głos Rzeszowa”, „Kwartalnik Edukacyjny”) i ogólnopolskiej prasie katyńskiej („Rodowód” – Gdynia, „Biuletyn Katyński” – Kraków). Przypominała o tragedii Katynia, udzielając licznych wywiadów i uczestnicząc w wielu audycjach radiowych i telewizyjnych, kolportując prasę i książki o Katyniu. Prowadziła lekcje historii w szkołach. Przygotowywała z sukcesami młodzież do ogólnopolskich konkursów o tematyce katyńskiej (liczni laureaci, zwłaszcza organizowanego przez miasto Gdynię konkursu „Katyń – Golgota Wschodu”. Wydana jako pokłosie tego konkursu książka „Pokolenie 2000 o Katyniu” zawiera prace przygotowanych przez nią laureatów z woj. podkarpackiego). Artykuł o jej pracy i zebrane przez nią archiwalia opublikowany został w „Kurierze Codziennym w Chicago”. W oparciu o udostępnione przez nią materiały studentka University of Massachusetts w USA, Joanna Bolec, napisała pracę magisterską pt. „Katyń – prawie doskonałe zabójstwo”. Teresa Kaczorowska, autorka książki „Kiedy jesteście, mniej boli – losy dzieci katyńskich”, jeden z rozdziałów napisała w oparciu o relację Stanisławy Sojowej.

Stanisława Sojowa przez kilka lat utrzymywała listowny kontakt z przewodniczącą Izraelskich Rodzin Katyńskich w Tel Awiwie, zbierając informacje na temat oficerów polskich narodowości żydowskiej, zamordowanych w Katyniu. Korespondencję tę przechowuje w domowym archiwum.

„Kronika Rodzin Katyńskich” spisywana przez S. Sojową od 1991 r. zawiera unikatową dokumentację pracy Stowarzyszenia Rzeszowskich Rodzin Katyńskich. Aktualnie jest to zbiór



liczący 5 olbrzymich tomów (każdy liczy ok. 500 stron), gromadzący wszystko, co związane jest z utrwale-  
niem pamięci o Katyniu w woj. pod-  
karpackim. Ponadto część obszernej  
dokumentacji przekazała do rzeszow-  
skiego Oddziału IPN.

Stanisława Sojowa nigdy nie była  
członkiem żadnej partii politycznej.  
Utrzymuje stałą łączność z życziwy-  
mi władzami kościelnymi, świeckim  
organizacjami i instytucjami, z do-  
wództwem Garnizonu w Rzeszowie.  
Współ z nimi od 1991 r. jest organi-  
zatorką uroczystych mszy rocznicow-  
ych (5 III i 11 IV), podczas których

eksponuje Wstęgę z Kokardą Krzyża  
Srebrnego Orderu Wojennego Vir-  
tuti Militarii (najwyższe odznacze-  
nie przyznane pośmiertnie Pomor-  
dowanym przez Rząd Emigracyjny  
w Londynie).

Stanisław Sojowa była członkiem  
Okręgowej Komisji Badań Zbrodni  
Przeciwko Narodowi Polskiemu,  
obecnie jest członkiem Wojewódzkie-  
go Komitetu Rady Ochrony Pamięci  
Walk i Męczeństwa. Za swoją pracę  
i działalność uhonorowana została  
wieloma odznaczeniami państwo-  
wymi (Złoty Krzyż Zasługi, Krzyż  
Kawalerski Orderu Odrodzenia Pol-

ski, Medal Komisji Edukacji Narodo-  
wej). Do najcenniejszych zalicza jed-  
nak: Złoty Medal Opiekuna Miejsca  
Pamięci Narodowej (1996) i Medal  
Pro Memoria (2006). Dumna jest też  
z medalu Prezydenta Miasta Rzeszo-  
wa za długoletnią działalność w upa-  
miętnianiu Katynia.

## Od redakcji

*Pani Stanisława Sojowa zosta-  
ła zgłoszona do nagrody Kustosz  
Pamięci Narodowej IPN za rok  
2007. Tytułu tego – na który z całą  
pewnością zasługiwała – niestety  
nie otrzymała. Honorujemy jej za-  
sługi niniejszym artykułem.*

Urszula Szymańska-Kujawa

## Zróbmy wrzawę wokół Wrzaw!

Ucząc historii w rzeszowskich  
szkołach, staram się zawsze dodać  
coś z historii regionalnej. Ponie-  
waż nasz region jest bogaty w noś-  
niki pamięci historycznej z różnych  
okresów, nie mam z tym kłopotów,  
z wyjątkiem okresu napoleońskiego.  
Dowiedziałam się ostatnio o pom-  
niku we Wrzawach. Wkrótce – jak  
na zamówienie – nadarzyła się oka-  
zja wyjazdu do Kazimierza. W wy-  
niku dziwnych zbiegów okoliczno-  
ści (zjechanie z wcześniej ustalonej  
trasy, nieczynna przeprawa pro-  
mowa na Sanie, detektywistyczna  
żyłka mojego męża) znalazłam się  
we Wrzawach! Czy to czysty przy-

padek, czy zew historii? Nie od razu  
natrafiliśmy na pomnik upamięt-  
niający miejsce bitwy z 12 czerw-  
ca 1809 r., ale mój mąż – detektyw  
szybko rozwiązał ten problem. Przy-  
znam się, że ja straciłam już nadzieję  
na odnalezienie pomnika, ale od cze-  
go ma się mąż! Nagle, na tle wałów  
przeciwpowodziowych, zauważyli-  
śmy wznoszący się wśród łąk tajem-  
niczy monument. Nie muszę ukry-  
wać, jacy byliśmy dumni!

Po powrocie do domu poszpera-  
liśmy trochę i oto co udało nam się  
ustalić. Wrzawy to miejscowość po-  
łożona na północnych rubieżach wo-  
jewództwa podkarpackiego, oddalona  
6 km od Sandomie-  
rza. Niestety słabe  
oznakowanie (sym-  
bol miejsca pamię-  
ci przy tablicy infor-  
macyjnej „Wrzawy”) utrudnia mniej wy-  
trawnym turystom  
dotarcie do bardzo  
interesującego pom-  
nika. Strzelisty obe-  
lisk, wzniesiony  
w XIX wieku ku czi  
poległych żołnie-

rzy księcia Józefa Poniatowskiego,  
przypomina charakterem pomnik  
stojący w miejscu bitwy pod Wa-  
terloo. Podobnie jak on ustawio-  
ny jest na kopcu, usypanym nie-  
opodal wału wiślanego. Ufundował  
go w 1879 roku ziemianin Kalikst  
Horoch, właściciel Wrzaw. Z czte-  
rech stron pomnika umieszczone  
są okolicznościowe napisy:

### Pamięci

**Walecznych Rodaków  
Obrońców swobód Ojczystych  
Poległych w Bitwie Na Tych Polach  
Stoczonej 13 czerwca 1809 r.**

### Za czasów

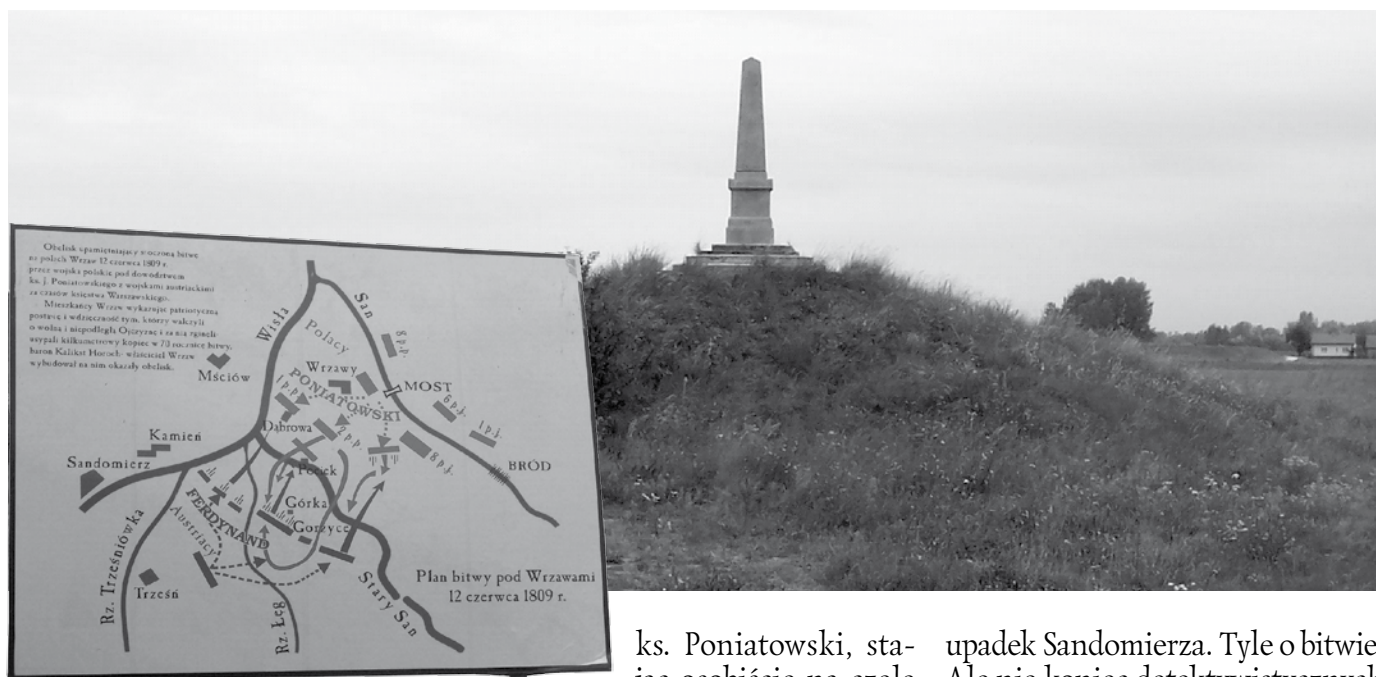
**Księstwa Warszawskiego  
Pod Dowództwem Księcia  
Józefa Poniatowskiego  
Naczelnego Wodza Wojsk Polskich**

### Pomnik Ten

**Na Wieczną Pamiątkę  
Obywatel – Obrońcom  
Żołnierz – Żołnierzom  
Kalikst Horoch  
Postawił w 1879 roku  
Jak długo w sercach naszych  
krew Onych przodków Płynie  
Tak długo tych Walecznych  
Pamięć nie zaginie.**

O samej bitwie pod Wrzawami  
(zwanej też bitwą pod Gorzycami)  
niewiele wiadomo.





Rozegrała się 12 czerwca 1809 r. w rejonie wsi Wrzawy, Gorzyce i Dąbrowa na lewym brzegu Sanu. Była jedną z bitew wojny austriacko-francuskiej przy udziale wojsk Księstwa Warszawskiego, dowodzonych przez samego księcia Józefa Poniańskiego.

Jego wojsko liczące (wg Sołtyka) około 7300 żołnierzy, przeprawiło się przez rzekę w celu odsieczy Sandomierza, wcześniej zajętego przez Austriaków. Arcyksiążę Ferdynand dowodzący armią austriacką, dysponował przewagą liczebną (ok. 8500–10 000 żołnierzy). Zamierzone przez polskiego wodza działania były, mimo wcześniejszych ustaleń, sabotowane przez rosyjskiego „sprzymierzeńca” – dywizję Suworowa. Austriacy zajęli Gorzyce, skąd prowadzili ataki na pozycje polskie we wsi Wrzawy i na pobliskich groblach. Walki były bardzo zacięte i trwały od wczesnego popołudnia do godz. 22 w nocy. W jednym z kontrataków zniszczona została niemal doszczętnie kompania grenadierów 1 p.p. Księstwa Warszawskiego, odpierając najpierw natarcie grenadierów węgierskich, a następnie szarżę szwoleżerów austriackich. Kawalerię austriacką, która próbowała obejść polskie pozycje, powstrzymał

ks. Poniański, stając osobiście na czele kompanii 2 p.p. Bitwa zakończyła się taktycznym sukcesem arcyksięcia Ferdynanda, gdyż w decydującym momencie Rosjanie odślonili skrzydło wojsk Poniańskiego, narażając je na obejście i uniemożliwiając wsparcie żołnierzy walczących we Wrzawach. Przez następny dzień obie strony pozostały na swoich pozycjach, aż w nocy z 13 na 14 czerwca Polacy wycofali się za rzekę, paląc za sobą most w okolicach Czekaja. Według Sołtyka, straty polskie wyniosły 30 zabitych, 50 rannych i 40 wziętych do niewoli, natomiast Austriacy mieli stracić kilkuset żołnierzy zabitych i rannych oraz 100 jeńców. Skutkiem porażki pod Wrzawami był m.in.

upadek Sandomierza. Tyle o bitwie. Ale nie koniec detektywistycznych wątków. W kościele farnym w Kazimierzu wisi portret ks. J. Poniańskiego, a pod nim tablica z nazwiskami osób, które zmarły z ran odniesionych w bitwie z 12 czerwca 1809 r. w lazarecie prowadzonym przez franciszkanów. Być może chodzi właśnie o żołnierzy rannych w czasie walk pod Wrzawami.

Za sprawą tego niewielkiego pomnika, położonego na samym krańcu województwa podkarpackiego, okres kampanii napoleońskich i udziału w nich wojsk polskich staje się nam bliższy. Wydaje mi się, że miejsce to po uporządkowaniu i lepszym oznakowaniu może stać się celem interesujących wycieczek historycznych.

## Z życia stowarzyszenia

### VIII Obóz Wędrowny 2007

W dniach 25 lipca do 3 sierpnia br. odbył się kolejny obóz wędrowny organizowany przez Szkolne Koło Widenokrag SP 16 i nasze stowarzyszenie. W tym roku chodziliśmy po Beskidzie Wyspowym i Pieninach, zahaczając o Beskid Sądecki. Noclegi mieliśmy w Mszanie Dolnej i Szczawnicy. By-

liśmy na Ćwilinie (1072 m n.p.m.) i Luboniu Wielkim (1022 m n.p.m.), Sokolicy, Trzech Koronach (Okraglica 982 m n.p.m.), Hali Przehyba 1173 m n.p.m. i Wysokiej 1050 m n.p.m. Zwiedziliśmy kopalnię soli w Bochni, ruiny zamku w Dobczycach, kościół muzeum w Rabce im. Władysława



Orkana, drewniany kościół w Szczawie i muzeum I Brygady Podhalańskiej im. Jana Cieśli, rezerwat przyrody Biała Woda i Wąwóz Homole, zabytkowy kościółek w Tropiu i zamek Tropsztyn. To tylko niektóre atrakcje i miejsca historyczne, w których byliśmy. Nie wspomnę o ognisku, turnieju tenisa stołowego i siatkówki. Pogoda i humory nam dopisały, chociaż na te ostatnie zawsze możemy liczyć. ➔

## Kwiaty pod Sikorskim

4 lipca 2007 r. Klub Historyczny przy IPN zorganizował minikonferencję na temat postaci gen. Władysława Sikorskiego. Prelegentem był dr Jerzy Majka, autor książki o generale. Następnie złożyliśmy kwiaty pod pomnikiem Władysława Sikorskiego w Rzeszowie. Niestety, były to jedyne kwiaty.



## Rocznica „BURZY” w Tyczynie

W niedzielę 29.07.2007 r. na zaproszenie zarządu koła w Tyczynie Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej wzięliśmy udział w uroczystych obchodach 63. rocznicy akcji „Burza”. Uroczystość rozpoczęła msza św. w kościele parafialnym w Tyczynie. Po jej zakończeniu wspólnie złożyliśmy wieńce i wiązanek kwiatów przy mogile poległych żołnierzy AK na cmentarzu w Tyczynie. Na zakończenie uczestnicy wzięli udział w żołnierskim obiedzie. ➔



## Stowarzyszenie na „PANIADZE”

W tym roku po raz pierwszy uczestniczyliśmy w święcie Paniagi. Nasze stoisko prezentowane przez Grażynę Skawinę i Tadeusza Ochenduszkę odwiedzało wiele osób. Prezentowaliśmy na nim nasz kwartalnik „ŚLAD”.



## Wystawa Bogusława Kotuli

Kolejne spotkanie z cyklu „Rzeszowskie spotkania z historią regionalną” odbyło się w Galerii Miasta Rzeszowa 8 X br. Gościem naszym i prelegentem był pan Bogusław Kotuła, który przygotował wystawę fotografii pt.: „Wczorajsze dzisiaj – Rzeszów z lat okupacji 1939–45 ze zbiorów Bogusława Kotuli”. Wystawa bardzo ciekawa, zwłaszcza z osobistym komentarzem autora, który w barwny sposób wprowadził nas w „tamte klimaty” okupacyjnego Rzeszowa. Najciekawsze są zdjęcia tych miejsc, których już nie można zobaczyć.



Renata Pasternak

## Szlakiem rzeszowskich nośników pamięci historycznej

W ramach projektu „Biblioteka publiczna jako centrum informacji o regionie” realizowanego ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Filia nr 3 zorganizowała wycieczkę, połączoną ze spotkaniem autorskim i prelekcją, dla uczniów klasy V ze Szkoły Podstawowej nr 27. Prelegentem i przewodnikiem po trasie wycieczki była pani Urszula Szymańska-Kujawa, autorka artykułów w Kwartalniku społeczno-historycznym „Ślad” Regionalnego Stowarzyszenia Pamięci Historycznej, w „Pracach Archiwalno-Historycznych” oraz autorka haseł w „Encyklopedii Rzeszowa”. Temat wycieczki „Rzeszowskie nośniki pamięci historycznej” został wybrany nieprzypadkowo, bowiem między wrześniem a listopadem przypadają rocznice ważnych wydarzeń: wybuchu II wojny światowej, agresji sowieckiej na Polskę, powstania Polskiego Państwa Podziemnego oraz odzyskania niepodległości. Wycieczka rozpoczęła się pod bi-

blioteką przy ul. Krzyżanowskiego 4 października 2007 r. o godz. 11. Stąd wszyscy uczestnicy, tj. 28 dzieci, ich wychowawczynie pani Agnieszka Czechowicz, nasza prelegentka pani Urszula Szymańska-Kujawa oraz instruktor pani Grażyna Nowak i kierowniczka Filii 3 Renata Pasternak, wyruszyli na rzeszowski szlak. Wiódł on przez al. Rejtana, most na Wisłoku w kierunku najstarszej części miasta. Pod pomnikiem Adama Mickiewicza pani Urszula wspominała dzieciom o ludziach, którzy w znaczący sposób wpłynęli na rozwój miasta: o Mikołaju Spytku-Ligęzie, Jerzym Sebastianie Lubomirskim oraz Hieronimie Augustynie Lubomirskim. Właśnie im zawdzięcza Rzeszów taki, a nie inny układ starej części miasta.

Sam pomnik wieszczą wzniesiono w 1892 roku. Obecna replika autorstwa Krzysztofa Brzuzana została odsłonięta w 1986 roku. Dalej wycieczka skierowała się na Rynek, gdzie na tle południowej jego

pierzei wznosi się pomnik Tadeusza Kościuszki.

Jest to również replika poprzedniego monumentu z 1898 r., odsłonięta w 1980 r. Wśród wielu innych informacji pani Ula przekazała uczestnikom, że upamiętniono tu postać niezwiązaną bezpośrednio z Rzeszowem nie mniej ważną dla wszystkich Polaków. Kolejnym punktem programu był Kościół i klasztor oo. Bernardynów, ufundowany przez Mikołaja Spytkę Ligęzę. Następnie obejrzelśmy pomnik Leopolda Lisa-Kuli, wzniesiony w 1932 r., zniszczony przez Niemców w 1940 r. i ponownie odsłonięty w 1992 r. Zobaczyliśmy poświęconą rzeszowskiemu bohaterowi tablicę pamiątkową, usytuowaną na ścianie Kościoła farnego. Idąc dalej ul. 3. Maja obejrzelśmy kolejne dwie tablice pamiątkowe – pierwszą poświęconą Józefowi Piłsudskiemu, umieszczoną na ścianie kamienicy przy ul. Jagiellońskiej, oraz tablicę upamiętniającą Konstytucję 3 maja. Przy tej okazji dowiedzieliśmy się, że w Rzeszowie jest około 190 tablic pamiątkowych, znajdujących się wewnątrz i na zewnątrz budynków. Po obejrzeniu i wysłuchaniu historii powstania dawnego konwentu Pijarów, przeszliśmy obok pałacyku letniego Lubomirskich do pomnika Żołnierzy Armii Krajowej. Na koniec zobaczyliśmy tablicę dedykowaną Henrykowi Dobrzańskiemu „Hubalowi”, umieszczoną na froncie kamienicy przy ul. Szopena, oraz tablicę poświęconą Stanisławowi Nowakowskiemu „Dziadkowi”, usytuowaną na ścianie kamienicy położonej przy ul. Naruszewicza. Wycieczka przybliżyła dzieciom ważne miejsca i postacie z historii. Poszerzyła też wiedzę o rodzinnym mieście, jego bohaterach i zabytkach.





## ODESZLI NA WIECZNĄ WARTĘ

Kazimierz Kaszuba „Albatros” 1920–2007



Przed kilkoma miesiącami odszedł na wieczną wartę Kazimierz Kaszuba ps. „Albatros”, żołnierz Armii Krajowej placówki Boguchwała oraz żołnierz Armii Wojska Polskiego.

Kazimierz Kaszuba urodził się 9 marca 1920 roku w Kielanówce, w niezamieszanej wsi pod Rzeszowem, położonej wśród pagórkowatych pól i łąk. Do oddalonej o kilka kilometrów szkoły powszechnej im. H. Sienkiewicza w Rzeszowie dojeżdżał w lecie rowerem, a w zimie maszerował na piechotę. W 1940 roku ukończył czteroklasowe Gimnazjum Mechaniczne w Rzeszowie. Już jako uczeń szkoły powszechnej przejawiał wiele zainteresowań pozaszkolnych, a jedną z pasji, którą zaczął realizować w gimnazjum, było spadochroniarstwo. W sierpniu 1939 roku zdobył kategorię „B” na kursie szybowcowym Przysposobienia Wojskowego w Ustianowej.

Pasja poznawania Polski i jej kultury wyrobiły u niego silne poczucie obowiązku wobec ojczyzny i szlachetny patriotyzm. Dowodem tego jest fakt ochotniczego zgłoszenia się do służby wojskowej w 1939 roku. Młody Kazimierz pragnie wziąć udział w obronie ojczyzny po napaści wojsk hitlerowskich. Mimo niepowodzeń w tym względzie, szuka innych możliwości działania przeciwko okupantowi. Sprawilo to, że jako jeden z niewie-

lu znalazł się na liście osób przymuszonych do wywożenia na roboty do Niemiec, co stało się faktem 3 września 1940 roku. Pracował w Bayerische Motoren Werke w Monachium.

Niespokojna dusza tego młodego chłopaka sprawiła, że zdecydował się na ucieczkę z obozu pracy, co zostało uwieńczone sukcesem. W kwietniu 1942 roku Kazimierz powrócił do rodzinnej Kielanówki. Musiał niestety się ukrywać. Wkrótce za pośrednictwem kolegi Tadeusza Pai, ps. „Sokół”, nawiązał kontakt z organizacją podziemną Armii Krajowej, działającą na tym terenie, podległą placówce w Boguchwale. Pełnił funkcję łącznika, kolportera i rusznikarza. Jako strzelec został przydzielony do oddziału dywersyjnego dowodzonego przez Tadeusza Paję, ps. „Sokół”.

W międzyczasie ukończył kurs podoficerski i otrzymał awans na kaprala. Brał udział w wielu akcjach dywersyjnych jako żołnierz IV plutonu Placówki Boguchwała, obwód Rzeszów. Następnie wszedł w skład oddziału, który wyruszył na pomoc walczącym powstańcom Warszawy. Niestety, oddział został zaskoczony przez NKWD i rozbrojony w lesie w rejonie Sokołowa Małopolskiego, następnie pod silną eskortą skierowany do 8. Batalionu Zapasowego w Jarosławiu.

1 listopada 1944 roku Kazimierz Kaszuba został przeniesiony do I Oficerskiej Szkoły Broni Pancernej w Chełmie Lubelskim i przydzielony do 9. Baterii Szkolnej. W lutym 1945 roku miała miejsce ucieczka do lasu 12. Baterii Szkolnej. Po szczegółowym śledztwie przeprowadzonym przez NKWD, Kazimierz Kaszuba jako były żołnierz AK, został przeniesiony do obozu w Majdanku, a po tygodniu wysłany karnie na front w składzie 2. PAL 2 DP I Armii Wojska Polskiego. Szlak bojowy K. Kaszuby rozpoczyna się walkami pod Kołobrzegiem. Po sforsowaniu Odry bierze udział w walkach o Berlin. Uczestniczy w wyzwoleniu obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, w walkach o Neustadt, aż do Łaby w rejonie Sandau. W styczniu 1946 roku awansuje do stopnia plutonowego.

Po demobilizacji w kwietniu 1946 roku wraca w rodzinne strony, jednak nie może znaleźć pracy. Aby utrzymać rodzinę, którą wówczas zakłada, doradzano mu wstąpienie do PPS. Jednak po zjednoczeniu nie zostaje zweryfikowany. Dopiero w styczniu 1949 roku udaje mu się znaleźć pracę w rzeszowskiej WSK, gdzie wkrótce zostaje bardzo cennym i odznaczanym pracownikiem. Mimo to w pierwszych latach pracy na WSK jest nieustannie „nachodzony” przez Urząd Bezpieczeństwa, przesłuchiwany i podejrzewany o wiele zdarzeń, mających miejsce w zakładzie. Chodzi tu o powstałe awarie czy pożary, które były stale związane z sabotażem, stąd też na pierwszej linii podejrzeń był m.in. K. Kaszuba jako były członek AK.

Warto w tym miejscu nadmienić, że w dniu demobilizacji, żegnając się z dowódcą kompanii, usłyszał od niego słowa „*plutonowy Kaszuba, ja miałem polecenie przez cały czas waszego pobytu w mojej kompanii, zwracać na was szczególną uwagę*”.

Kiedy myślę o niełatwych powojennych latach „Albatrosa”, przychodzi mi na myśl inny, a jakże podobny przypadek. Miał on miejsce w 1974 roku. Pracowałem wówczas w Zakładzie Doskonalenia Zawodowego na stanowisku kierownika organizacyjno-prawnego i w związku z wprowadzeniem reformy płacowej i organizacyjnej, zachodziła konieczność bezpośredniego kontaktu z największym naszym oddziałem w Przemyśle, stąd moje częste tam wyjazdy. W drodze do zakładu przechodziłem obok targowiska przemyskiego, gdzie w owym czasie można było nabyć wiele eksponatów kolekcjonerskich, takich jak: lampy, monety, odznaczenia, biała broń i dokumenty wojskowe. Szukałem wówczas eksponatów nie tylko do mojej kolekcji, ale przede wszystkim czułem ogromną potrzebę rozmowy ze świadkami dawnych czasów, a szczególnie legionistami. Od jednego ze sprzedających uzyskałem adres byłego legionisty w stopniu podpułkownika i odważyłem się go odwiedzić. Po trwającej blisko trzy





Kazimierz Kaszuba

godziny szczerzej rozmowie, mój rozmówca nabrał do mnie zaufania. Pan podpułkownik bardzo się wzruszył i łzy popłynęły mu po policzkach. Okazało się, że należał on do organizacji niepodległościowych od 14. roku życia, a mając 18 lat miał to szczęście, że walczył o wolną i niepodległą Polskę u boku marszałka J. Piłsudskiego w jego I Brygadzie.

Los tego młodego legionisty to nieustanne walki na linii frontu od 1914 roku do wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku. Okres międzywojenny to służba, szkoła i udział w walkach w czasie II wojny światowej. Następnie niewola sowiecka i dalsze walki w ramach I Dywizji Kościuszkowskiej od Lenino do Berlina.

Po tylu latach trudów, wyrzeczeń i straconej młodości, przechodząc ulicami Przemyśla, mój rozmówca często słyszał ironicznie rzucane pogardliwe słowo „Piłsudczyk”. Jak tu odczuwać słuszną dumę, gdy ze strony rodaków brak było najmniejszego nawet uznania?

Niniejsza historia całkowicie odpowiada uczuciom mojego szlachetnego bohatera Kazimierza Kaszuby ps. „Albatros”. Najmłodsze swoje lata poświęcił poszukiwaniu dróg walki z okupantem. Wcześniej w ramach Armii Krajowej, a następnie – nie z własnej woli – w składzie I Armii Wojska Polskiego, walcząc czynnie z najeżdżącą hitlerowskim od Wału Pomorskiego przez Kołobrzeg aż do Łaby.

Poznałem pana Kazimierza wiele lat temu za sprawą mojego teścia, który pracował tak jak pan Kaszuba w rzeszow-

skiej WSK. W rozmowach, które z nim prowadziłem, wracał do braku uznania i zrozumienia tak ze strony władzy ludowej, jak i jego kolegów z niektórych organizacji AK. Jedni nazywali go akowcem, drudzy peerelowcem.

Swoje pozostałe lata starał się przeżyć spokojnie, w oddaleniu od wszystkich. Wspólnie ze swoim szwagrem T. Miłkiem po pracy poświęcali się całkowicie prowadzeniu sadu owocowego i krzewowego, położonego w Kielanówce.

Kazimierz Kaszuba był człowiekiem nadzwyczaj pogodnym, uczynnym i uczciwym, tak w pracy zawodowej, jak i społecznej, do której włączył się bez reszty od 1980 roku. Cechowała go sumienność, dokładność i chęć przekazywania swoich doświadczeń młodemu pokoleniu. Bardzo chętnie uczestniczył w spotkaniach z młodzieżą szkolną i dorosłymi, przekazując im niezafałszowaną prawdę historyczną.

Chciałbym zadedykować czytelnikom wiersz Andrzeja Gawrońskiego „Polakiem być”, który oddaje wiernie sylwetkę bohatera ś.p. Kazimierza Kaszuby.

*Polakiem być – to kochać swoją ziemię,  
Błękity nieba, przestrzeń szarych pól,  
Gdzie w dawne dni praocjów żyło plemię,  
Gdzie zieleń pól zraszały łzy i ból.*

*Polakiem być – to kochać ojców dzieje,  
Rycerską sławę, klęski, zwycięstw szlak,  
Husarii łan, co szumem skrzydeł wieje  
I na czerwieni biały Orła znak.*

*Polakiem być – to kochać szlak męczeństwa,  
W pamięci mieć niewoli długie dni,  
Powstańczych zrywów nie brać za szaleństwo,  
Lecz za ofiarę i wolności sny.*

*Polakiem być – to kochać ojców wiarę,  
Budować Bogu wież srebrzystych las,  
I z serc własnych nieść należną mu ofiarę  
I w trudzie spełniać swych przeznaczeń czas.*

*Polakiem być – to bronić praw Narodu,  
A jeśli trzeba – w walce za nie lec,  
Bo lepiej złożyć życie swe za młodu,  
Niż za rydwanem niewolnikiem biec.*

*Polakiem być – to przyszłość tworzyć nową,  
Budować własny, czysty, szklany dom,  
Mieć własny sąd i dumę narodową,  
Gdy w burzy czas uderzy nieszczęść grom.*

**Jan Partyka**

## Andrzej Zagórski „Mścislaw” 1926–2007



Andrzej Zagórski urodził się 21 kwietnia 1926 r. w rodzinie o tradycjach patriotycznych i wojskowo-ziemiańskich. Oboje rodzice w latach drugiej wojny światowej byli żołnierzami AK. Matka Stanisława z domu Kamionka pod pseudonimem „Szczęsna” sprawowała funkcję komendantki Wojskowej Służby Kobiet na terenie Obwodu AK Przeworsk, a ojciec Franciszek jako „Ostoja” (od rodzinnego herbu) był oficerem wywiadu AK, potem podziemnym komisa-

rycznym starostą wojskowym na powiat Przeworsk, a w końcu kwatermistrzem Inspektoratu AK Przemyśl.

Z konspiracją wojskową i cywilną Andrzej Zagórski zetknął się już jako piętnastolatek. Pomagał w organizowaniu tajnego nauczania w zakresie szkoły średniej na terenie Urzejowic, gdzie mieszkał. W październiku 1943 r. sam zdał tajne egzaminy z zakresu małej matury. Już wcześniej, 2 lutego 1942 r., z racji wieku dopiero po uzyskaniu zgody ojca, zaprzysiężono go do Związku Walki Zbrojnej. Jako strzelec otrzymał w lutym 1943 r. przydział do 4. drużyny II plutonu kompanii Placówki AK Kańczuga z Obwodu Przeworsk. Po małej maturze i „dodaniu lat” został 27 października 1943 r. skierowany na konspiracyjny kurs szkoły podoficerskiej, a potem szkoły podchorążych, którą ukończył 18 marca 1944 r. Otrzymał awans do stopnia kaprala podchorążego. Od lata 1943 r. był – pod pseudonimem „Mścislaw” – żołnierzem plutonu dyspozycyjno-dywersyjnego Obwodu AK Przeworsk; jednym z najmłodszych w akowskiej dywersji.



Uczestniczył w wielu zadaniach bojowych, dywersyjnych, specjalnych, w tym w słynnej akcji „Jula”, podczas której nocą z 5 na 6 kwietnia 1944 r. wysadził most kolejowy w Tryńcu. Walczył podczas akowskiej Burzy” latem 1944 r. Za męstwo dwukrotnie został odznaczony Krzyżem Walecznych.

Pełną maturę uzyskał już po wojnie, w lipcu 1945 r. Nie były to czasy łatwe. Jako niedawny żołnierz AK i współpracownik Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, dwukrotnie trafił do ubeckiego aresztu. Zdołał jednak ukończyć ekonomię na Akademii Handlowej w Krakowie. Do emerytury pracował w Zjednoczonych Zespołach Gospodarczych Stowarzyszenia PAX.

Służbę w Armii Krajowej Andrzej Zagórski niejako kontynuował na polu historii. Choć był w tym zakresie samoukiem stał się cenionym ekspertem i znawcą. Niestety, finalizację rozprawy doktorskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim w latach siedemdziesiątych – *Inspektorat Armii Krajowej Rzeszów* – uniemożliwiły ingerencje cenzury. Mimo to, przez blisko półwiecze pieczołowicie gromadził dokumenty oraz relacje dotyczące polskiej niepodległościowej konspiracji w Małopolsce (a przede wszystkim na Rzeszowszczyźnie) w latach 1939–1956. Jego wyjątkowo profesjonalnie zestawione i zabezpieczone archiwum objęło ponad 2500 relacji, około 25 000 stron dokumentów (w przeważającej mierze oryginalnych), a nadto blisko 5000 wycinków prasowych. Stanowi bezcenny zbiór materiałów źródłowych do historii Armii Krajowej Podokręgu Rzeszów, scalonych z AK konspiracji paramilitarnych oraz powojennych struktur podziemia niepodległościowego, przede wszystkim Rzeszowskiego Okręgu Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”.

Powiększający się zbiór dokumentów stał się podstawą licznych, regularnych publikacji Andrzeja Zagórskiego. Pierwszy artykuł – *Akcja „Bariera”* – ogłosił na łamach „WTK” w marcu 1962 r. Pełna lista jego publikacji to blisko 300 pozycji, w tym osiem książek. Przygotował kilkadziesiąt biogramów uczestników działań niepodległościowych z lat 1939–1956. Jest autorem rozdziału poświęconego armii podziemnej do III tomu *Dziejów Rzeszowa*. Zainicjował opracowanie „księgi hańby”, zawierającej na-

zwiska osób odpowiedzialnych za zdradę i zbrodnie w okresie powojennych rządów komunistycznych. Był pomysłodawcą, a także pierwszym redaktorem wydawanych od 1992 r. „Zeszytów Historycznych WiN-u”. Przez kilkanaście lat ściśle współpracował z reaktywowanym „Orłem Białym”, w którym publikował *Czarną Księgę wymiaru sprawiedliwości w służbie komunistycznych okupantów*. W oparciu o swoje archiwum Andrzej Zagórski pomagał w trakcie licznych po 1989 r. procesów rehabilitacyjnych żołnierzom AK i działaczom powojennego podziemia niepodległościowego. Wspierał byłych konspiratorów w staraniach o uprawnienia kombatanckie.

Andrzej Zagórski był niezmiernie życzliwy dla wszystkich badaczy dziejów najnowszych, których zarażał pasją odkłamywania polskiej historii. Chętnie

służył radą, udostępniał swoje zbiory, pomagał w żmudnych, specjalnych kwerendach źródłowych. Rezygnując z własnych planów poświęcał długie godziny na pracę z młodymi adeptami nauk historycznych. Nic zatem dziwnego, że dla wielu z nich okazał się prawdziwym mistrzem i nauczycielem. Każdego dnia krakowskie mieszkanie państwa Zagórskich odwiedzało historycy, publicyści, a przede wszystkim wierni przyjaciele i dawni towarzysze broni z Armii Krajowej.

8 listopada 2002 r. został wyróżniony tytułem „Kustosza Pamięci Narodowej”.

Andrzej Zagórski zmarł po długiej i ciężkiej chorobie 8 października 2007 r. w Krakowie. Został pochowany w asyście kompanii honorowej i orkiestry Wojska Polskiego 12 października na Cmentarzu Rakowickim.

**Grzegorz Ostasz**

## Danuta Stachura „Borówka” 1923–2007



30 września 2007 r. w Warszawie zmarła Danuta Stachura, żołnierz wywiadu Inspektoratu AK Rzeszów.

Danuta Stachura urodziła się 16 kwietnia 1923 r. w Przemyślu. Była córką Kazimierza i Emilii. Wkrótce rodzina Stachurów przeniosła się do Kolbuszowej, gdzie ojciec pracował jako lekarz powiatowy; po jego śmierci w 1934 r. matka z dziećmi zamieszkała w Rzeszowie.

Danuta Stachura uczyła się w rzeszowskiej szkole powszechnej, a w latach 1936–1939 w Prywatnym Liceum i Gimnazjum Żeńskim w Rzeszowie. Po wybuchu wojny światowej we wrześ-

niu 1939 r. brała udział w harcerskiej służbie sanitarnej; pełniła obowiązki zastępowej. W latach 1940–1941 przebywała u rodziny w Gorlicach.

W 1941 r. została zaprzysiężona na żołnierza Związku Walki Zbrojnej. Otrzymała przydział do „Wedety”, referatu prasowo-propagandowego rzeszowskiego ZWZ. Przyjęła pseudonim „Borówka” i otrzymała zadania w konspiracyjnej sieci łączności. Razem z nią do ZWZ weszła matka, która używała pseudonimu „Komarek”. Niedługo potem Danuta Stachura, z polecenia Jana Bałdy („Piotr”), dowódcy „Wedety”, podjęła pracę w sekretariacie niemieckiego więzienia na zamku w Rzeszowie. Do jej konspiracyjnych zadań należało między innymi zbieranie informacji o więźniach, o niemieckiej załodze więzienia, zdobywanie kopii różnego rodzaju okupacyjnych dokumentów. Jako „wtyczka” ZWZ-AK utrzymywała nadto stały kontakt z więźniami osadzonymi na zamku; przekazywała grypsy od i do ujętych żołnierzom polskiej armii podziemnej. Jesienią 1943 r. zorganizowała wykradzenie z więzienia maszyny drukarskiej „Bostonki”. Codziennie wynosiła czcionki i drobne elementy na potrzeby „Wedety”; zdobyta w ten sposób maszyna posłużyła do drukowania konspiracyjnej gazetki AK „Na Posterunku”.

Po tym zadaniu Danuta Stachura, zagrożona dekonspiracją, zwolniła się z pracy w więzieniu pod pretekstem złego stanu zdrowia. Pozostała w konspiracji. Uczestniczyła w antyniemieckiej akcji propagandowej o kryptonimie „N”; kolportowała specjalne ulotki.

Po zakończeniu wojny ponownie wyjechała do rodziny do Gorlic. Tam w 1945 r.

zdała egzaminy maturalne i w roku następnym podjęła studia na Wydziale Grafiki Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych (później Akademii Sztuk Pięknych) w Krakowie. W 1950 r. uzyskała dyplom. Od 1951 r. mieszkała w Warszawie, gdzie wyszła za mąż (używała nazwiska Stachura-Dąbrowska) i pracowała jako grafik. Od 10 października 1951 r. należała

do Związku Polskich Artystów Plastyków (nr legitymacji 2152). Była członkiem rzeczywistym ZPAP.

Danuta Stachura została pochowana 3 października na rzeszowskim cmentarzu Pobitno.

Grzegorz Ostasz

## CUDA I GUZIKI

Marzę o cudzie. Nie takim zwykłym, których tyle dookoła, lecz o ósmym cudzie. Dokładnie to o ósmym cudzie Podkarpacia. Bo siedem cudów, za sprawą wakacyjnego plebiscytu w jednej z regionalnych gazet, to już mamy. Spyta ktoś, po co nam w takim razie jeszcze jeden. Odpowiadam otóż po to, by tamte siedem miały jakiś sens. Mój wymarzony cud polegałby na tym, by każdy mój drogi rodak, wypełniając ankietę zapomniął na chwilę, skąd pochodzi, gdzie mieszka, kogo zna i co wybrać należy. By po prostu jeszcze raz przeczytał pytanie, zastanowił się i odpowiedział, co lub kto podoba mu się najbardziej. Bez kalkulacji, powinności, sympatii i antypatii, lecz tak po prostu wybieram to, co mi się najbardziej podoba. Gdyby ten cud się spełnił, być może nie musielibyśmy się zastanawiać, gdzie leży największy cud Podkarpacia, czyli pomnik Chrystusa Króla w Małej. Nie mam nic przeciwko wspomnianej figurze. Nie podejrzewam też redakcji o fałszerstwo. Grzebiąc w Internecie udałoby się dokładnie prześledzić, w jaki sposób miejscowa społeczność walczyła o wysokie miejsce dla swojej figury. Wysiłki te oraz ich imponujący efekt budzą mój szacunek i sympatię. Tylko nie wiedzieć czemu pytam sam siebie i innych, czy o to w tej zabawie chodziło? Czy to ja nie wiem się bawić, czy może jednak czytelnicy owego szacownego czasopisma. W ogóle ostatnimi czasy lektura lokalnej prasy dostarcza mnóstwa powodów do rozmyślań. Oto regionalny dodatek do innej nie mniej zasłużonej gazety wystąpił w obronie zagrożonej młodzieży. Drżycie rodzice – IPN przygotował dla waszych pociech „kontrowersyjne materiały” zawarte w programie „Sla-

dami zbrodni”. Zachęca w nim młodzież, by pod okiem nauczycieli szukała miejsc i pamiątek związanych z działalnością bezpieki. Mało tego, w materiałach pomocniczych dołączono słownik ubeckiej grypsery, z którego uczniowie będą mogli się dowiedzieć, co oznaczało „osadzanie na kołku”, bądź „jazda na Andersa”. Program adresowany jest do uczniów starszych klas gimnazjów i szkół ponadgimnazjalnych. Próbowateł wyobrazić sobie pobladłego z przerażenia ucznia ostatniej klasy liceum (bo właśnie wtedy omawiany jest okres powojennej historii Polski), któremu po przeczytaniu opisu ubeckich tortur, wypada z ręki dowód osobisty, niedawno otrzymany. Chronimy nasze maluchy przed takimi zajęciami! Lepiej niech wracają do komputerów pograć w nową grę wojenną, obejrzą kolejny film sensacyjny, bądź pójdą na mecz kibicować zmaganiom drużyn znakomicie wyposażonych „kibiców”. Zgodnie z zamieszczoną obok radą wiekowego dydaktyka historii „nigdy nie pokazujemy przykładów ujemnych”. Praca przed nami ogromna, czas wyrzucić z programów wszystkie opisy wojen, zbrodni i zapewne drastycznych klęsk żywiołowych także. Młodzież się ucieszy, z żadnego innego przedmiotu nie będzie miała tak cienkich podręczników jak z historii, a i lektur zostanie niezbyt wiele, tak może jedna na semestr. Czy nie prościej byłoby napisać, że autorka pełnego troski artykułu po prostu nie chce, by młodzi ludzie stawiali niewygodne pytania. Np.: jak mogło dojść do sytuacji, gdy walczący w podziemiu z okupantem niemieckim żołnierze AK byli po wojnie skazywani za rzekomą współpracę z hitlerowcami. W komunistycznym systemie terroru

brali udział milicjanci, funkcjonariusze UB – później SB, sędziowie, działacze partyjni. Na zbrodnie te godzili się milcząco lub wręcz je pochwalali liczni Polacy omamieni wszechobecną propagandą. Nie dziwię się, że oni i ich bliscy woleliby ten okres naszych dziejów po prostu wymazać. Tego jednak się zrobić nie da i robić nie wolno. Skoro bowiem nasze pokolenie do dzisiaj nie potrafiło odnaleźć i godnie pochować doczesnych szczątków zamordowanych w majestacie komunistycznego prawa gen. E. Fieldorfa, rotmistrza W. Pileckiego, płk. Ł. Cieplińskiego i innych, muszą to za nas zrobić nasze dzieci! I oby nie okazało się, że powinność ta obciążać będzie nasze nienarodzone wnuki....

Na koniec z innej beczki. Z wielu szumnie zapowiadanych akcji społecznych nie zostaje nic, czyli przysłowiowy guzik. Akcja „Pamiętam. Katyń 1940”, mimo że za swój symbol przyjęła właśnie guzik, okazała się wielkim sukcesem. Udowadnia ona, że o sprawach naszej trudnej przeszłości można mówić interesująco, bez nadmiernego patosu i celebry. Genialny wręcz pomysł, by guzik od munduru polskiego oficera uczynić symbolem tej akcji. Okazało się to strzałem w dziesiątkę. Niepozorny przedmiot, tak z natury codzienny, wykopany z katyńskiego grobu, stał się relikwią, oskarżeniem i krzykiem głosem większym niż tysiące mądrych słów. „Zostaną po nas tylko guziki” – mówi jeden z bohaterów bardzo udanego filmu A. Wajdy. Repliki tamtego wojskowego guzika przypinane z dumą podczas rocznicowych uroczystości do naszych ubrań, zdają się paradoksalnie mówić, że może wcale nie tylko, a aż!!!

Dociekliwy